Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 14. Marca 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 11.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O CHLEBIE LITERACKIM.

III.

W poprzedzającym artykule była mowa o tem, jakim jest chleb literacki w nowoczesnem społeczeństwie europejskiem w ogóle; tu będzie mowa o dzisiejszym chlebie literackim w społeczeństwie polskiem.

Powiedzieliśmy, że przewrot społeczny, jaki się dokonał w Europie przy końcu ubiegłego i na początku bieżącego wieku, stanowczy i po większej części korzystny wpływ wywarł na materjalne położenie i społeczne stanowisko literatów. Twierdzenie to w zastosowaniu do Polski musi uledz znacznym ograniczeniom.

Przez ostatnich sto lat naród polski żył życiem zupełnie odrębnem od życia reszty europejskich narodów. Kiedy gdzieindziej ludy do coraz większej przychodziły samodzielności i coraz więcej pozyskiwały swobód do szerzenia oświaty w warstwach niższych, naród polski powstrzymany w zbawczem dziele reformy, która miała naprawić zadawnione grzechy i zepchnięty w przepaść niewoli, musiał patrzeć na podeptanie swoich praw, swej narodowości i języka, a o krzewieniu oświaty w języku ojczystym drogą publicznych zakładów nie wolno mu było nawet myśleć. Były, co prawda, wśród tej posępnej doby, do dziś jeszcze trwającej pod zaborem pruskim i moskiewskim, jaśniejsze chwile, ale chwil tych było nie wiele i były one bardzo przelotne, a prowadziły zwykle za sobą jeszcze większą ciemność i większy ciężar niewoli.

Przytem społeczeństwo polskie różniło się tém od zachodnio-europejskich, że prawie nie miało stanu miejskiego, który tam, na zachodzie, posiadał władzę, pieniądze i oświatę, i dostarczał teraz literaturze najwięcej czytelników. W Polsce było wprawdzie w miastach większych trochę żywiołu miejskiego z poczuciem obywatelskiem i z pewnymi zadatkami oświaty, ale ta odrobina nikła w ciemnej, bezmyślnej massie ruchliwego żydowstwa i leniwego małomieszczaństwa, która pod względem oświaty nic a nic wyżej nie stała i dziś na nieszczęście nie stoi od ludu wiejskiego.

Tak więc nowy stan rzeczy, wywołany w Europie upadkiem form feudalnych, nie mógł stworzyć w Polsce nowego, licznego koła czytającej publiczności, jak to uczynił w innych krajach. Oświata, starannie przyćmiewana przez rządy zaborcze, mało się rozchodziła po za krawędziami stanu szlacheckiego, z którego też, jak dawniej, tak i teraz niemal wyłącznie wytwarzała się inteligencja. To więc, co za granicą napisane dla Francuzów, Niemców, lub Anglików w ich języku mogłoby liczyć czytelników na tysiące i na sta tysięcy, u nas musiało poprzestawać na setkach, to, co tam przyniosłoby znaczne zyski, u nas zaledwie wystarczało na opędzenie kosztów druku.

Gdybyż przynajmniej ta szczupła publiczność czytająca polska, była zupełnie swobodną przy kupowaniu książek, gdybyż przynajmniej każdej książce polskiej wolno było wędrować po całym obszarze Polski i szukać sobie wszędzie czytelników! Wiemy dobrze, że tak nie było i tak do dziś nie jest jeszcze. Rządy, które rozdzieliły Polskę na trzy części, rozdzieliły także czytelników polskich na trzy koła oddzielne i powstrzymały swobodny ruch pism i książek z jednego koła do drugiego. W najgorszych pod tym względem warunkach zostaje najliczniejsze z tych trzech kół czytelników. Książka drukowana we Lwowie lub Poznaniu tylko w takim razie może przejść do Warszawy, Wilna lub Kijowa, jeżeli nie ma barwy patrjotycznej; dla wszelkich zaś pism perjodycznych wydawanych w Galicji, lub w Poznańskiem granice zaboru rosyjskiego są stanowczo zamknięte. Najznakomitsze nawet dzieło poetyczne i historyczne nie są tam wolne od proskrypcji, jeżeli nie odpowiadają wymaganiom cenzury i tylko ukradkiem lub w zeszpeconej postaci mogą się dostawać do rąk tamtejszej publiczności.

Przed polskimi więc literatami staje dylemat: albo stosować się do wymagań cenzury, nie potrącać żadnych żywszych strun narodowych, krępować uczucia i myśli i za tę dopiero cenę uzyskać dla swoich utworów wstęp do wszystkich części Polski; albo dając swobodny lot myślom i uczuciom skazywać się na utratę znacznie większej połowy czytelników.

Widzimy więc, w jak smutnych warunkach materjalnych żyć muszą i pisać literaci polscy Podczas gdy za granicą autor na jednem dziele, które sobie rozgłos pozyska, może zrobić majątek, u nas najsławniejszy i najpłodniejszy nawet pisarz zarobić może zaledwie na skromne niezależne utrzymanie. Ileż przytem smutnych przykładów łamania się talentów, zmuszonych koniecznością do pracy literackiej bez odetchnienia, do pracy, wyczerpującej fantazją, budzącej wstręt do pióra.

Czy w tym ciemnym obrazie naszych stosunków literackich nie ma żadnych stron jaśniejszych? czy w istocie podczas gdy wszędzie nastąpiła w tych stosunkach zmiana na lepsze, u nas tylko zmieniło się na gorsze?

Pod względem materjalnym: tak. Wprawdzie już przed stu laty Naruszewicz w jednej z najlepszych satyr swoich narzekał tak samo na los współczesnych literatów polskich, jak my to dziś na tem miejscu czynimy, jeżeli jednakże porówna się byt materjalny samegoż Naruszewicza i jego kolegów na Parnasie, Krasickiego, Trembeckiego Kniaźnina i innych, co tytuły, zaszczyty, dochody lub przynajmniej wygodne życie z protektorskiej dłoni otrzymali, jeżeli się porówna ich byt materjalny z materjalnym bytem Mickiewicza, Goszczyńskiego, Brodzińskiego lub Szajnochy, to się w istocie okaże zmiana tylko na gorsze. Dawnych protektorów zabrakło, a publiczność czytająca, wskutek przyczyn powyżej podanych, nie rozrosła się jeszcze tak, żeby mogła należycie wynagrodzić pracę literacką. To też, gdy tamci żyli wygodnie, tych prawie nieustannie trapiło ubóstwo.

Ale pod względem moralnego stanowiska o ileż nieskończenie wyżej stoją przedstawiciele nowoczesnej literatury. W porównaniu z takim

Naruszewiczem nieustannie palącym kadzidła górnolotnych pochlebstw dla swego protektora, z Krasickim, mizdrzącym się do Fryderyka Wielkiego, z Trembeckim, porównywającym się w bezczelnej szczerości do pieska, i z biednym Kniaźninem opiewającym wszystkie uroczystości domowe Czartoryskich, wyglądają oni, jak mistrze i kapłani przy dworakach i trefnisiach. Chleb, który jedzą suchy jest i twardy, jak chleb wszystkich apostołów, niemniej przeto smakuje on tym ludziom lepiej od łakoci, zaprawnych upokorzeniem.

Dzisiejsi literaci nie są apostołami, jak ich poprzednicy przed laty czterdziestu, ale zawód ich jest równie ofiarnym, jak tamtych, bo obierając go sobie, skazują się, jak tamci na chleb suchy i twardy. Czegoż im potrzeba, aby im ten chleb smakował? Oto zamiłowania w sumiennej pracy, któraby im dawała zadowolenie wewnętrzne i jednała cześć powszechną.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Zrobiwszy tę ofertę, dr. Mitręga wlepił wzrok przenikliwy w naszego bohatera. Chodziło mu o to, ażeby zbadać, czyli proponowana suma nie wyda mu się zbyt niską. Stanisław tymczasem, który nie był w tem usposobieniu, w jakiem człowiek być powinien, ażeby zrozumiał od razu co do niego mówią, zastanawiał się, czyli przypadkiem nie marzy, i czyli nie jest snem to wszystko, co się z nim dzieje: uwięzienie, rozmowa z dolorystą, indagacja u inspektora, dymisja z oberkomisarjatu, i propozycja, ażeby ni ztąd ni z owąd, przyjął od dr. Mitręgi stodwadzieścia idealników miesięcznie, t. j. akuratnie dwa razy tyle, ile wynosił dotychczas skromny jego dochód. Wskutek tego wszystkiego, fizjonomja jego przybrała wyraz dwuznaczny, który wprowadził w błąd szanownego doktora.

—Hm, pedagog mój ceni się wysoko— pomyślał—trzeba się dyplomatycznie brać do rzeczy. Zapewne — rzekł głośno—że suma ta wydać się panu może zbyt małą, ale muszę panu wyznać w sekrecie, że chociaż *Orędowniczka* dysponuje bardzo znacznemi funduszami, to i wydatki mamy bardzo wielkie. Stosunki z gabinetami... reprezentacja pisma na zewnątrz... Ale też to, co panu proponuję, jest tylko tymczasowem, w krótce bowiem będziemy mogli podwyższyć pańskie honorarjum.

— Ja nie o tem myślałem — odparł Stanisław, przetarłszy oczy, i przekonawszy się, że nie spi — ja myślałem...

— Myślałeś pan zapewne, że będziesz pan musiał porzucić posadę publiczną, która się panu wydaje pewniejszą. Daję panu słowo, że *Orędowniczka* stoi na silnych nogach, i że ma dobre plecy. Zresztą jest wszelka nadzieja, że wkrótce zajdą takie zmiany polityczne... jednem słowem, zmiany, dzięki którym, zamiast starać się o posady, będziemy je rozdawać według naszego upodobania. Przytem chciej pan zważyć, że jako pedagog jesteś pan zawisłym od widzimisię przełożonych, a my ofiarujemy panu niepodległość, i sposób służenia ojczyźnie całym zasobem wiedzy, jaką pan posiadasz.

Stanisław wierzył może, a może nie wierzył, że ziści się świetna perspektywa, w której *Orędowniczka* miała nabrać takiego znaczenia, o jakiem mówił dr. Mitręga. Na wszelki wypadek, było mu to obojętnem — ambicja jego sięgała tylko tak daleko, jak potrzeba egzystencji, a więc aż do posady, któraby mu chleb zapewniała, a nie do rozdawnictwa posad. To, co mu ofiarował p. Mitręga, wydawało mu się już samo w sobie tak świetnem, że przerażała go raczej myśl, czy zdoła sprostać pretensjom, jakie ludzie mieć mogą do człowieka, któremu płacą 120 idealników miesięcznie — pensję dwu profesorów! W tym też duchu odpowiedział p. Mitrędze.

— O, niechaj pan o to będzie spokojnym! Z takim zapasem wiadomości, jaki pan posiadasz, będziesz pan prawdziwem światłem w redakcji! Zresztą, z początku, będę panu dawał wskazówki, jak i co potrzeba zrobić, zwłaszcza pod względem poli...

— Politycznym?

— Nie, nie, polityczny kierunek pisma już ja biorę sam na siebie, chciałem powiedzieć co innego. Jakże, u licha... wypadło mi z pamięci... słowo, które także zaczyna się »poli«. A-ha, politechnicznym!

— Pod względem technicznym — poprawił spokojnie Stanisław. — Smiechowski i Języczkowski daliby byli pięć idealników, gdyby im kto pozwolił był posłuchać tę rozmowę, ale na szczęście, nie wiedzieli o niej wcale.

— Tak, chciałem powiedzieć, pod względem technicznym. Głównem zadaniem pańskiem będzie czuwać nad tem, ażeby się pismo nie kompromitowało nieuctwem, ani rubasznością formy, albo też niepotrzebną polemiką o drobiazgi. Co do ogólnego kierunku, głównem zadaniem *Orędowniczki* jest walka ze wstecznictwem *Raka* i Rakowiczan na polu politycznem, społecznem i ekonomicznem—w obecnej zaś konstelacji, wykazywanie konieczności wojny z Laputańczykami.

— Walka ze wstecznictwem i z Rakowiczanami, i wojna z Laputańczykami— powtórzył Stanisław, jak gdyby sobie zapisywał w pamięci program dr. Mitręgi.

— Jakże, zgadzasz się pan na to?

— Najzupełniej — odparł Wołodecki, który w istocie był przeciwnikiem Rakowiczan od czasu gdy podnieśli myśl, ażeby z wykładów matematyki w szkole średniej technicznej ujęto dwie godziny tygodniowo na korzyść obszerniejszych wykładów katechizmu — i który oprócz tego żywił w głębi duszy mimo wiedzy i woli swojej przekonanie, że stanowisko *Orędowniczki* nic dobrego, ani nic złego nie zdoła wyrządzić Laputańczykom.

— I przyjmujesz pan moją propozycję? — dodał dr. Mitręga.

— Przyjmuję z wdzięcznością.

— Brawo! — zawołał dr. Emanuel, ściskając Stanisława za rękę. Zaraz jutro wprowadzam pana do biura, a tymczasem, ażebym mógł uważać kontrakt jako ostatecznie zawarty, zechciej pan przyjąć honorarjum za pierwszy miesiąc — następnie, co pierwszego, wypłaci je panu kasa.

Przy tych słowach, dr. Mitręga wyjął z eleganckiego a przecież brzuchatego pugilaresu najpierw ideał nad ideałami, przedstawiający sto małych idealików, a następnie dwa mniejsze ideały, przedstawiające po dziesięć, i wręczył to wszystko Stanisławowi. Ten ociągał się, bo jakoś mu się zdawało, że pieniądze te są darowane, i że nie ma do nich prawa — ale nie było rady, musiał przyjąć. I nietylko musiał przyjąć, ale nadto musiał pójść do hotelu na objad z panem doktorem, który przedstawił go kilku hrabiom, baronom i hidalgom, dodając od niechcenia, że jest to jego *adlatus* i szef sztabu *Orędowniczki*, a przytem, chodząca encyklopedja wszystkich wiadomości. Encyklopedja skompromitowała się atoli zaraz na pierwszym swoim wstępie w te sfery, nie umiała bowiem zdać sprawy pewnemu grandowi z ważnego szczegółu, czyli pewna znakomitość operetkowa paryzka wyjechała na lato do Trouville, czy do Monaco, ani też z drugiego jeszcze ważniejszego, czy są doniesienia, jak wypadło »Derby« w Epsom, i który koń wygrał. Prawda i to, że z drugiej strony jakiś wyjątkowo uczony hidalgo męczył bez skutku dra Mitręgę pytaniami o najnowsze wykopaliska w okolicy Niniwy. Udało się atoli pokierować rozmowę tak, że Stanisław zaspokoił asyryjską ciekawość hidalga, a to właśnie w chwili, w której dr. Emanuel już wcale niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że Aryjczycy a heretycy Arjanie są jedną i tą samą odmianą lutrów i innych bezwyznaniowców. Wybawiony z tego kłopotu, rzucił się pan Mitręga w rozprawę z grandem o biegach Derby, Oaks i St. Leger w Doncaster, jakoteż o najnowszej operetce Offenbacha, i wszystko odtąd szło doskonale. Objad był także wyborny: zupa *mock-turtle*, pstrągi *au bleu*, bifsztyk *à la Chateaubriand*, karczochy z sosem *à la braise*, pularda z truflami i lody, przytem madera, Chateau-Larose, i Heydsieck-Imperial, a do kawy Fine-Champagne, bardzo stary. Stanisławowi przynajmniej zdawało się to wszystko arcy-wykwintnem, dr. Mitręga zaś narzekał ciągle, że w Wilkowie niepodobna zjeść dobrego objadu — grand zaś narzekał także, zjadł rosół, trzy porcje polędwicy i wyszedł, nie zapłaciwszy rachunku.

Stanisław, rozpromieniony spożytemi, dobremi darami bożemi, a jeszcze więcej szczęśliwym zwrotem, jaki nastąpił w jego położeniu w chwili, gdy ono było tak bardzo krytycznem, wrócił do domu z sercem pełnem wdzięczności dla tej Najwyższej władzy, która wszystko tak dobrze ułożyła. Przytem powtarzał sobie ciągle, że dr. Mitręga wyświadczył mu olbrzymią przysługę, za którą postanawiał odpłacić mu się pracą, pilnością, a jeżeli sposobność się zdarzy, poświęceniem bez granic. Janowa przyjęła go nieco szorstko — jakieżby wy-

obrażenie można mieć o lokatorze, którego w nocy policja wyciąga z łóżka, i dla którego potrzeba było trzy razy otwierać bramę, raz tylko dostawszy na piwo! Ofuknęła go, że zostawił pokój otwarty, i że jeżeli nic nie zginęło, to jej w tem zasługa (zmniejszona, jak się później pokazało, decesem obejmującym parę trzewików, parasol i wysłużone palto zimowe) poczem rzuciła na stół list, który przyniesiono z poczty, i znikła.

Był to list od matki. Donosiła mu, że zdrowa, że niczego jej nie braknie, że wdzięczna mu za przesyłkę, którą właśnie odebrała, że błogosławi go z całej duszy i wszystkim poczciwym ludziom życzy, ażeby mieli takie dobre dzieci. Niestety, nie wszystkim je Pan Bóg daje — oto sąsiadka jej, pani Salewiczowa, równie jak ona, wdowa po urzędniku, pobierająca wprawdzie małą pensyjkę, ale mająca pięcioro drobiazgu do wyżywienia, ma najstarszego syna, który jej się bardzo a bardzo nie udał. Narobił długów, podpisał matkę na wekslu, dług w ręku lichwiarza z procentami i kosztami urósł z 20tu idealników do 60ciu, i rozpisano licytację na domek pani Salewiczowej, bo przecież nie mogła zaprzeczyć podpisu i oddać syna do kryminału. Ma wprawdzie kobiecina jakiś los chaocko-teremteckiej pożyczki loteryjnej, za który nieboszczyk mąż zapłacił 50 id., ale żydzi powiadają, że ten los już nic nie wart, i dają zaledwie 10 id. Możebyś ty Stasiu, który mieszkasz w wielkiem mieście i uczyłeś się tylu rzeczy, dowiedział się, co wart taki los i gdzie go można sprzedać, żeby nie za pół darmo?

Stanisław nie był biegłym finansistą, ale wiedział, że pożyczka loteryjna chaocko-teremtecka, jako już dawna i dająca przeto więcej szans wygranej, wcale dobrze stoi na giełdzie. Rzucił okiem na dziennik i przekonał się, że płacą za losy 68 do 70 idealników. Zastanowiwszy się chwilę, pomyślał, że posiada jeszcze około 20 idealników z pensji swojej profesorskiej, którą przed kilku dniami odebrał, a oprócz tego 120 idealników od dra Mitręgi. Bez namysłu więc siadł do stolika, opisał matce wszystko, co mu się zdarzyło, dołączył wycinek z gazety i banknot opiewający na sto idealników, i prosił matkę, ażeby pożyczyła z tej sumy pani Salewiczowej to czego jej było potrzeba. Ale domyślał się, że matka nie zgodzi się na to. Pożyczyłaby swoje, gdyby miała, ale pracę swego syna, nigdy. Dlategoteż dodał, że »może mama kupi ten los, po najwyższym kursie, i schowa go dla mnie — chociaż wolałbym, ażeby został pani Salewiczowej — może znowu kiedy będzie w podobnych kłopotach«.

Zapieczętowawszy list, udał się na pocztę, ażeby go polecić i oddać osobiście. Na schodach spotkała go dziewczyna, niosąca dwie konewki wody, a ponieważ powiedzieliśmy już, że nasz bohater był wcale przystojnym młodzieńcem, i miał bardzo figlarne oczy, więc dziewczyna obejrzała się, wyszedłszy o parę schodów wyżej i przy tej sposobności przechyliła konewki tak, że trochę wody chlupnęło na kapelusz Stanisława. Oglądnął się więc także, nieco zirytowany.

— Będzie szczęście, proszę pana — zaśmiała się dziewczyna — konewki pełne!

— Szczęście! — mruknął p. profesor. — Szczególny zabobon — zwłaszcza w mieście, gdzie codzień wychodząc z domu można na schodach spotkać się z pełnemi konewkami, bo próżnych nikt przecież na górę nie nosi. Na ulicy znowu, kto chce spotkać się z dobrą wróżbą, niech tylko zawsze idzie w stronę, w której jest studnia, a z pewnością ktoś mu przejdzie drogę »z pełnem«.

Wśród tych medytacji, Stanisław zaszedł na pocztę, oddał list, i z powrotem wstąpił do p. Smiechowskiego, ażeby mu opowiedzieć swoje przygody i zasięgnąć jego rady.

— Dziwny jesteś z twojemi skrupułami, — odpowiedział mu p. Władysław. — Umiesz tyle, co wszyscy tutejsi redaktorowie razem, masz styl dobry, i jeszcze sobie nie dowierzasz! Przeczytaj wszystkie dzienniki zagraniczne i miejscowe z ostatnich kilku dni, a wnet będziesz *au courant* wszystkiego. Co się tyczy twoich uczuć bezgranicznej wdzięczności dla p. Mitręgi, to są one wcale nie na swojem miejscu. Jest to osieł, który ma szczególny dar wnęcania się między wielkich panów i wyciągania od nich pieniędzy. Jakim sposobem trafił do Skirgiełły, tego nie pojmuję, ale dość, że trafił. Skirgiełło jest to człowiek, którego nie cierpię, bo podejrzywam go o nieszczerość, o ambitne zamiary, i o wichrzycielstwo, a to, że chce on prowadzić walkę z Rakowiczanami, nie imponuje mi wcale. Fakcja przeciw fakcji, koterja przeciw koterji — o zasady nie chodzi tu ani trochę. To tylko pewna, że Skirgiełło jest człowiekiem bystrego umysłu, wielkiej śmiałości w przedsięwzięciach i chwilami wielkiej energji, która przychodzi mu jak kaprys, i jak kaprys znika. (Autor zwraca uwagę, że stosownie do zapowiedzi swojej, nie wdaje się w sądy o wyższych sferach, i że to wszystko mówi tylko p. Smiechowski.) Na wszelki wypadek powtarzam, że jest to człowiek rozumny i bardzo wykształcony — ma tylko to nieszczęście, że posługuje się bardzo często głupcami, albo oszustami. Na Mitrędze może się jeszcze nie poznał, ale pozna się wkrótce, jeżeli *Orędowniczka* zabłyśnie całem jego światłem. Dla tego też jesteś niezbędnie potrzebnym p. doktorowi, i on tobie będzie winien wdzięczność, a nie ty jemu. Będziesz pracował jak czarny wół (NB. nie uważałem nigdy, ażeby czarny wół był pracowitszym od siwego, czerwonego lub krasego, ale tak utrzymuje przysłowie) jak czarny wół, powiadam ci, a on będzie zbierał owoce twojej pracy.

— Owocami temi dzieli się przecież ze mną, a to co powiadasz o Skirgielle, jest tylko twojem osobistem zdaniem...

— No, no, daruję ci Skirgiełłę, i zdążam do konkluzji. Bądź co bądź, masz walczyć z *Rakiem*, ze stronnictwem, z Rakowiczanami i całym tym taborem, do którego oni należą. Mniejsza o to, czy dzieje się to pod egidą Skirgiełły i Mitręgi, cel zawsze dobry, i będziesz służył dobrej sprawie, dla tego nie ganię wcale, ale owszem pochwalam, że przyjąłeś posadę w *Orędowniczce*. Tylko trzymaj się, bo będziesz widział, że prędzej czy później »oni«, tj. twoi przywódcy, wywrócą jakiegoś koziołka... a, oto p. dr. Mitręga na koniu!

— Na Machiawelu!

— Powiedz mu odemnie, żeby się także dobrze trzymał, bo go Machiawel zrzuci. Do widzenia!

— Do widzenia.

Z lżejszem nieco sercem, ale zawsze jeszcze mocno bijącem, objął Stanisław nazajutrz po tej rozmowie urzędowanie swoje w redakcji *Orędowniczki*. Zaraz pierwszego dnia udało mu się oddać temu organowi znakomitą przysługę — spostrzegł bowiem przy korekcie, że zdaniem któregoś z pp. współpracowników pewien Milicjanin, osiadłszy w Amsterdamie, »wydoskonalił« tam nie mniej, i nie więcej, jak tylko »perpetuum mobile«. Szepnął do ucha p. Mitrędze, że perpetuum mobile nie da się wydoskonalić, ponieważ nietylko nie jest wynalezionem, ale wynalezionem być nigdy nie może, że jest to mrzonka średniowieczna, jak kwadratura koła, albo kamień filozoficzny itp. — i kompromitujący artykuł poszedł do kosza, a dr. Mitręga palnął na zasadzie informacji powziętych od Stanisława taki *speech* w redakcji, że Manin zapomniał nietylko języka w gębie, ale nadto zapomniał tego dnia dać szpakom pełną miarę należącego im się owsa, na który przecież w pocie grzbietów swoich pracowały. (C. d. n.)

MARZENIA NIEMIECKIE.

Kampanja Niemiec przeciw Rosji i Francji w r. 1880 — 1881 *

(Napisana w r. 1831 w dniu 50. letniej rocznicy bitwy pod Warszawą).

W czerwcu 1880 r., komplikacje polityczne wzrosły do tego stopnia, że 10. tegoż miesiąca, Rosja i Francja doręczyły dworom w Berlinie i Wiedniu wypowiedzenie wojny. Włochy poprzednio już ogłosiły swą neutralność. Z tem wszystkiem 200.000 ludzi stanęło nad Piawą, a 150.000 skoncentrowało się w Toskanji. Anglja wysłała eskadrę na morze Północne, lecz ogłosiła się również neutralną, żądając jedynie od dworów berlińskiego i paryzkiego nietykalności Belgji i Holandji.

Tym sposobem Europa środkowa stała się teatrem wojny wschodnim i zachodnim. Sztab główny niemiecki, który przez rozumną skromność oddał się pod rozkazy sztabu austrjackiego, postanowił zachować względem Francji postawę odporną, kroki zaczepne zaś rozpocząć na granicy rosyjskiej a to dla zapewnienia sobie dogodnej podstawy operacyjnej. Gdy Francuzi oczekiwali ze strony Niemiec kroków zaczepnych, i przygotowywali się zużytkować wielkie swoje stanowiska obronne i fortyfikacje usku-

---

* Spodziewamy się że zainteresujemy czytelników, podając tłumaczenie broszury, która w tych czasach ukazała się w Berlinie pod tym tytułem i którą wszystkie dzienniki żywo się zajmują. (P. R.)

*

tecznione na granicy — to na zachodnim placu boju, nie było z początku żadnego ważniejszego starcia. Tem lepiej możemy śledzić przebieg operacyj na wschodzie.

I.

Dnia 11. czerwca rano, dwie dywizje rosyjskiej kawalerji, przekroczyły granicę pruską. Jednocześnie dowódzca 1. korpusu armji niemieckiej otrzymał wiadomość o marszu kilku rosyjskich dywizyj piechoty na Tylżę i Wierzbołów. Dywizje te, spotkawszy małe oddziały pruskiej awangardy nie posunęły się w dniu tym po za Stołupiany. Kawalerja rosyjska zaraz na granicy, zetknęła się z kawalerją pruską. Ta co prawda, cofnęła się, lecz przeszkodziła nieprzyjacielowi w marszu jego przez Lyck, pozostawiwszy w tej miejscowości dragonów i huzarów pieszych. Tegoż samego dnia, wojska rosyjskie ukazały się na Szlązku i w Poznańskiem, oraz na granicy austrjackiej. Przededniem 12., dowódca I korpusu armji niemieckiej zgromadził pod Goldap trzy brygady pozostające jeszcze prowizorycznie na stopie pokojowej, cztery pułki kawalerji i 3 baterje artylerji, a to ażeby zabezpieczyć sobie uruchomienie swojego korpusu. Forpoczty jego znajdowały się pod Trakseden i Oletzko, naprzeciw forpoczt rosyjskich. O 6. rano dowiedziano się, że brygada rosyjska wyruszyła z Oletzko na Goldap, podczas gdy druga maszerowała na Lötzen. Tam znajdował się jeden bataljon pruski.

Z Trakseden nie sygnalizowano żadnego ruchu nieprzyjaciela. Nawzajem, o godzinie 7. dwie brygady pruskiej piechoty i trzy pułki kawalerji, otrzymały rozkaz maszerowania na Oletzko. O pół mili na południe od Goldap, wojska te spotkały piechotę rosyjską, którą z łatwością odrzuciły ku Oletzko, zadawszy jej dotkliwe straty. Ponieważ wzbronionem zostało posuwanie się po za Oletzko, zatrzymano się na pół drogi między Goldap a Oletzko; jednakże oddział kawalerji z jedną baterją wysłany został na rekonesans na drogę z Lötzen do Lyck. Rekonesans ten przyniósł wkrótce wiadomość, że i z tej strony także, kolumny rosyjskie rozwijają się pod Lyck.

Popołudniu dowiedziano się, że oddziały te rosyjskie stanowiące wszystkiego 3 brygady cofnęły się na Grajewo. Również nie sygnalizowano posuwania się naprzód rosyjskiej kawalerji, choć ta była liczniejszą od niemieckiej: Ze spotkań tych, generałowie pruscy nabyli przekonania, że kawalerja rosyjska zasłaniała jedynie drogę do miejscowości słabo i to tylko pieszemi kawalerzystami osadzonych, i że nie miała zamiaru wdawać się w bitwę.

Skonstatowano również, że piechota rosyjska żywiła szczególniejszą obawę przed szańcami naprędce usypanemi. Mały oddział pruskiej awangardy, zajmującej Trakseden, wzniósł małą redutę polową, celem wzmocnienia południowej strony tej miejscowości; okoliczność ta, przeszkodziła całej dywizji rosyjskiej stojącej pod Wierzbołowem posuwać się naprzód, rano 12. i zmusiła ją do czekania na posiłki. W ciągu dnia 12., nieprzyjaciel zgromadził pod Wierzbołowem cały korpus. Tegoż samego dnia, dwie brygady 2. korpusu armji pruskiej, przybyły koleją żelazną do Królewca, i natychmiast skierowane zostały ku Gumbinowi. Dnia 13., dowódzca zadecydował posunąć się po za Trakseden. Wskutek tego, rozkazał jednoczesny ruch naprzód tak dywizji z pod Gumbina, jak i wojskom swojego korpusu, z Goldap.

Dywizja z Gumbina już o godzinie 1. z południa, w Trakseden zaangażowała się w żywą walkę z korpusem rosyjskim, dowodzonym przez generała Skobelewa. O godzinie 2 i pół brygady idące z Goldap przyjęły udział w bitwie, i wojska pruskie zwyciężyły. Skobelew cofnął się ku Stołupianom. Tegoż samego dnia bataljon który był w Memlu, mając przed sobą o wiele silniejsze oddziały rosyjskie, cofnął się do Tylży i tam się odważnie bronił. Przez dwa dni następne, Rosjanie nic nie działali i czas ten wystarczył na ukończenie mobilizacji 1. korpusu armji, najbardziej wysuniętego.

W tymże czasie, sześć korpusów armji pruskiej, zgromadziły się pod Kaliszem i w Poznaniu i zajmowały punkta strategiczne. Armia austrjacka ściągnęła również 3 korpusy do Krakowa i trzy do Lwowa. Wiadomo, że nieprzyjaciel skoncentrował około 300.000 ludzi w Warszawie podczas gdy 100.000 miał w Wilnie a 150.000 w Winnicy i w Berdyczowie. Silne oddziały kawalerji, poprzedzające dwie armie, ścierały się z sobą w bitwach mniej więcej ważnych, z korzyścią po większej części dla sprzymierzonych. I tak jedna dywizja kawalerji austrjackiej zaatakowała 8 pułków kawalerji Rosyjskiej w Dubnie i odrzuciła je ku Jezierzanom, poczem zniszczyła kolej żelazną w Zdołbunowie. Dywizja kawalerji pruskiej, zdołała podsunąć się aż do Grodna, i zniszczyć most na kolei żelaznej z Wilna do Warszawy. Operacji tej dokonał z nadzwyczajną śmiałością generał Drygalski dowódzca dywizji. Musiał on w tym celu przebiedz promień dziesięciomilowy zasiany licznemi oddziałami nieprzyjacielskiemi, nie korzystając ze sposobności czynienia różnych małych niespodzianek, przed wykonaniem zadania głównego, które zależało na zniszczeniu kolei żelaznej.

Dzielna kawalerja niemiecka zrobiła tę drogę w ciągu 24. godzin wśród największych niebezpieczeństw; to też gdy przyszło jej powracać, co było jeszcze niebezpieczniejszem, siły jej były bardzo wyczerpane. Zdołano wszakże porzucając kilka koni zmęczonych i dając w zamian żołnierzom zapasowe konie oficerskie, dostać się do Augustowa, gdzie dywizja połączyła się z przedniemi strażami armji pruskiej.

Plan operacyjny sprzymierzonych zależał na skierowaniu koncentrycznego ataku na Warszawę, i zajęcia linji Wisły. W razie powodzenia miano dopiero powziąć decyzję, co do dalszego pochodu armji.

Operacja ta, miała się rozpocząć 20. lecz nieprzyjaciel uskutecznił wprzód ruch, odnoszący się do jego własnych planów operacyjnych.

Rosjanie mieli rzeczywiście zamiar utrzymać linję Wisły i posunąć w tym celu armię stojącą w Wilnie, gdy tymczasem wojska znajdujące się w Winnicy od strony granicy austrjackiej, miały pozostać na stopie odpornej. Dowódzca 2. korpusu armji rosyjskiej otrzymał więc rozkaz wyruszyć z Wilna i wkroczyć do Prus wschodnich, cernować Królewiec i posuwać się w kierunku Grudziąża. Pierwszy korpus rosyjski stojący w Warszawie miał wspierać ruch ten stosownemi siłami i spodziewano się tym sposobem owładnąć Toruniem i Wisłą niższą aż do Dürschau. W tym celu armja 15. opuściła Wilno. Do tego czasu, w Prusach wschodnich podniesiono siłę 1. korpusu pruskiego do 40.000 ludzi i rozłożono go w Gr. Schönau. W Królewcu stała dywizja landwery i dwa pułki artylerji pieszej.

Pierwsza armia rosyjska przeszła granicę 19. pod Oletzko, Goldap i Wierzbołowem. Dwa korpusy armji wyruszyły jednocześnie z Białegostoku i posunęły się ku Gr. Schönau. Dnia 20. rano, pruskie korpusy głównej armji podzielone na dwie armie, posuwały się w kierunku Warszawy przez Toruń i Kalisz. Armia austrjacka wyruszyła jednocześnie z Krakowa, idąc na Warszawę przez Kielce. Jeden korpus szedł także ze Lwowa na Lublin.

Rosjanie ściągnęli wszystkie awangardy ku Warszawie. Po pięciodniowym marszu, armja pruska, znalazła się na linji Płock-Kutno-Piotrków. Austrjacy stali na linji Kielce-Opatów. Korpus lwowski, stanął w Zamościu. Armia rosyjska, zajmowała w Warszawie stanowiska bardzo silne. Dwa jej korpusy, posłane do Prus wschodnich dla wzmocnienia armji wileńskiej, zostały ściągnięte i znajdowały się w Ostrołęce. 1. korpus armji pruskiej, opuścił 23. pozycję Gr. Schönau i zajął inną pod Preussisch-Holland. Dnia tego naczelny wódz armji rosyjskiej dowiedział się, że korpusy które wyszły z Warszawy wracają, gdyż wielkie siły nieprzyjacielskie posuwają się ku Warszawie. Wysłał więc 40.000 posiłków do Warszawy, a sam pozostał w Prusach z 60.000. ludzi. Zajął pozycje pod Preussisch-Eylau, przeciął drogi z Królewca i uskuteczniał rekonesanse w stronę Preussisch-Holland.

Główne siły pruskie zajmowały już pozycje przed Warszawą. Armia austrjacka była jeszcze o dzień marszu z tyłu. Attak ogólny nakazany został na 29. Dnia tego rano, armje sprzymierzone w sile 350.000 ludzi, wykonały ruch koncentracyjny przeciw pozycjom rosyjskim Warszawa-Praga. 60.000 Austrjaków ruszyło na prawy brzeg Wisły. Kawalerja maskowała attak, obiegając flanki nieprzyjacielskiej linji bojowej.

Na lewem skrzydle pruskiem, połączone 4 dywizje kawalerji, rozbiły cały korpus jazdy rosyjskiej pod Nasielskiem i odrzuciły ją za rzekę Narew. Ścigając nieprzyjaciela, kawalerja pruska podchwyciła korpus rosyjski maszerujący z Prus wschodnich ku Warszawie. Korpus ten doznał straszliwej porażki i uniknął zupełnego zniszczenia uciekłszy w kierunku Pułtuska. Kawalerja pruska, po raz pierwszy od Fryderyka Wielkiego attakowała przy tej okazji szwadronami, tak jak w swoim czasie Seydlitz prowadził ją do boju. Szarża taka, wielkiemi masami jest nieroztropną, chwilowa wszakże potrzeba nakazała ten porządek, który dotąd teorja zaniedbywała. Pod Warszawą, Rosjanie, w liczbie 350.000 ludzi energicznie się opierali. Walczono aż do późnej nocy.

Podczas tych wypadków na polskim teatrze wojny, armia austrjacka, zgromadzona pod Lwowem, ruszyła na Tarnopol ku Winnicy. Kawalerja jej zniszczyła kolej żelazną z Winnicy do Warszawy, na północ od Ostroga. Dnia 30, walka rozpoczęła się na nowo pod Warszawą. Ponieważ ruch skrzydłowy Austrjaków napotkał na zbyt silne pozycje, Prusacy spróbowali obejść prawe skrzydło rosyjskie. W tym celu, już dnia poprzedzającego kazano czterem korpusom przeprawić się przez Wisłę. Korpus rosyjski pod Pułtuskiem był zajęty — a tymczasem siły pruskie przeszły Bug i w chwili, gdy walka zawiązała się na

całym froncie, i lewem skrzydle — ukazały się z boku stanowisk rosyjskich. O godzinie 1szej w południe, po żywym ruchu naprzód, armja rosyjska cofnęła się na drogę do Mińska i o dwie mile zajęła znowu korzystne stanowiska. Dnia poprzedzającego w Prusach Wschodnich atak na pozycje rosyjskie w Gr. Schönau wsparty wycieczką garnizonu królewieckiego, udał się również. Wojska rosyjskie zaczęły odwrót na Gierdany, a na drugi dzień na Insterburg. 1. Lipca główna armja rosyjska wykonywała dalej swój odwrót i 5. lipca stanęła w Brześciu Litewskim, nad Bugiem. Druga armja rosyjska cofała się jednocześnie na Kowno, a trzecia Winnicka zbliżyła się do armii głównej zajmując pozycje pod Równem. W tym czasie, Włochy wypowiedziały wojnę Austrji. Armja Włoska maszerowała w kierunku Isonzo, gdzie stało 200,000 Austrjaków. Okoliczność ta, jak również potrzeba wzmocnienia pozycji zdobytych nad Wisłą, skłoniły sprzymierzonych do chwilowego wstrzymania kroków zaczepnych przeciwko Rosji.

II.

Podczas wytchnienia, jakie w tej chwili zapanowało, sprzymierzeni linję Wisły silnie ufortyfikowali, a wojska ich wysunięte naprzód, obserwowały nieprzyjaciela nad Bugiem i Niemnem. W tym czasie, na zachodnim teatrze wojny panowała nieledwie cisza, przerywana małoznaczącemi rekonesansami. Oto jak były rozstawione wojska stron wojujących.

Ze strony pruskiej trzy korpusy zgromadziły się w Lotaryngji pod Saint-Avold, inne trzy korpusy stały pod Kolmar — a jeden pod Mühlhousą. Trzecia armja trzykorpusowa, jako rezerwa stała w Hagenau. Nakoniec dwa korpusy skoncentrowano pod Akwisgranem, dla obserwowania granicy Belgijskiej.

Siły francuskie tak były rozłożone: 300,000 ludzi pod Nancy i Luneville, 200,000 pod Belfortem Vesoul i Besançon, 100,000 pod Sedanem. Nadto wzdłuż fortyfikacji na całej granicy francuskiej, rozrzucono 150,000 ludzi.

Gdy 1. lipca Włochy wypowiedziały wojnę, Austrji, dyktator Gambetta uważał chwilę za stosowną do porzucenia taktyki odpornej. W tym celu sześć korpusów miało posunąć się z Nancy i Luneville na Sarre, podczas gdy jednocześnie dwa korpusy maszerujące na Strasburg, zabezpieczały skrzydła tej armji. Tegoż dnia, cztery korpusy miały wtargnąć do Alzacji przez Belfort, a jednocześnie cztery inne skierowano przez Luxemburg na Trewir i Sarreburg. Ruchy te, rozpoczęto 3. lipca. D. 5. zawiązała się bitwa pod Puttingen, w której sześć korpusów pruskich walczyło z ośmioma francuskimi. Armja francuska została odrzuconą ku Nancy. Podczas tego dwa korpusy pruskie z pod Akwisgranu przybyły do Bittburga.

Francuzi, którzy posuwali się od Sedanu na Trewir, zatrzymani zostali w okolicach Longoy, a dowiedziawszy się o przegranej pod Puttingen, cofnęły się, 6. ku Montmedy. Armia wysłana z Belfortu, nie doszła nawet do Mülhousy, i zawiadomiona o ogólnym odwrocie, powróciła do Vesoul.

W tej chwili na tym teatrze wojny znowu zapanowała cisza.

D. 25. lipca, Anglja przyłączyła się do Austrji i Prus. Okoliczność ta, dozwoliła Prusom rozpocząć kroki zaczepne przez Belgją. W tym celu dwa korpusy wojsk odwołano z Polski i wysadzono w Düren, tak, że te złączone z dwoma z Trewiru, stanowiły cztery korpusy armii na linii Düren — Akwisgran. Wojska te miały iść przez Namur na Meziéres; w tym samym punkcie miały się także zebrać trzy korpusy wycofane z Lotaryngji. Ponieważ ruchy te odbywały się na terytorjum Belgijskiem, nie wywołały więc ze strony Belgii innego oporu nad protestacją i obiedwie armje, mogły dokonać bez przeszkody połączenia się na linji Givet-Neufchatel, Armia francuska, okrążona w ten sposób z dwóch stron, została odrzuconą do Reims.

Wtedy armja pruska skierowała się na południe ku Nancy, a główne siły francuskie opuściły linję Pont a Mousson — Nancy — Luneville i zajęły pozycję w Bar-le-duc. Ze strony pruskiej zadowolono się tym rezultatem. Trzymano odtąd linję Moselli od Thiouville aż do Nancy i Luneville, co stanowiło silną pozycję obronną.

Była ona jeszcze wzmocnioną Wogezami, które formowały drugą nieprzepartą tamę.

Jesień upłynęła w tem nowem położeniu rzeczy.

Na włoskim teatrze wojny, Austrjacy rozłożeni na silnych pozycjach pod Isonzo odparli dwa ataki Włochów. Druga armja włoska, która wkroczyła do Tyrolu również została odpartą. Na tym punkcie teatru wojny, gdy siła zaczepna przeciwnika wyczerpała się, a Austrjacy ciągle trzymali się odpornie, zapanował spokój i przeciwnicy ograniczyli się na wzajemnej obserwacji.

W tym czasie oto co zaszło w Rossji: Ogromne massy wojsk, nagromadzone od wielu miesięcy w Rosji zachodniej, wyczerpały kraj zupełnie. Służba zaprowiantowań była w Rosji źle zorganizowana, a zaraza i epidemje zagnieździły się w armii cara. U Niemców warunki były lepsze. Tu intendentura była zorganizowaną wybornie. Wojska dzięki wspaniałym barakom wzniesionym po za Wisłą, nie cierpiały od surowości klimatu.

W takich okolicznościach można było śmiało stawić czoło kampanji zimowej; inna rzecz była dla Rosji. Dlatego też w Petersburgu, chcąc uniknąć położenia bez wyjścia, postanowiono odwołać się do dobrych usług dyplomacji. Dnia 15. listopada Rosja zawarła ze sprzymierzonymi pokój oddzielny, mocą którego zgodziła się na ustąpienie całego kraju położonego na zachód od Wisły i Narwi aż do Łomży, a ztamtąd do Grajewa. Wojska pozostałe wskutek tego traktatu do dyspozycji, użyła Austrja w liczbie czterech korpusów na wzmocnienie armji Isonzo; ze strony pruskiej uformowano nową armję rezerwy z trzech korpusów pod Moguncją, a w Polsce i Prusach pozostawiono ośm korpusów prowizorycznie. Zima bardzo surowa, jaka nastąpiła, nie mogła naturalnie zachęcić umysłów do jakichkolwiek kroków na zachodzie; tylko we Włoszech nie znano wypoczynku. Dowódzcy armji austrjackiej i pruskiej postanowili, korzystając z przerwy na zachodnim placu boju zgnieść nieprzyjaciela na południu, ażeby następnie módz użyć sił austrjackich w kampanji przeciw Francji, na którą zanosiło się na wiosnę. W skutek tego trzy nowe korpusy armji niemieckiej wycofano z Polski i wysłano przez Wiedeń do Klagenfurtu; dwa inne z armji reńskiej skierowano przez Monachium do Gratz: D. 25 listopada te pięć pruskich korpusów połączyły się z armją Isonzy i ruszyły razem z nią w kierunku Brenty. 80,000 Austrjaków posuwało się doliną Adygi przez Botzen. Armja włoska została pobitą pod Padwą i Wicencją i wyrzuconą za Po. Werona i Legnano zostały obsaczone. Armja, która posuwała się doliną Adygi, nie brała udziału w decydujacej bitwie nad Brentą; w chwili, gdy wychodziła z doliny, zwycięstwo przechyliło się już na stronę sprzymierzonych, i armja Adygi otrzymała polecenie opanować przeprawę na rzece Po w Ostiglia. Udało jej się to, nieprzyjaciel stawiał tylko słaby opór. W dwa dni po bitwie nad Brentą sprzymierzeni przeszli Po w 200,000 ludzi i zwrócili się na Bolonję, podczas gdy 150,000 wojsk sprzymierzonych ruszyło w tym samym kierunku przez Rowigo, a to w celu, ażeby akcja na pozycje włoskie była stanowczą.

Ze strony włoskiej zapóźno zdecydowano się opuścić pozycje nad dolnym Padem, wskutek czego groziło otoczenie od strony Rawenny. Nieprzyjaciel następował z bliska. Nim zdołali dosięgnąć podnóża Apeninów, ażeby módz cofać się na Florencję, Włosi zmuszeni byli wskutek natarczywej pogoni nieprzyjaciela zatrzymać się dla spoczynku w Rawennie. Lecz zanim ztamtąd wyruszyli, zaatakowani zostali przez przeważające siły sprzymierzonych i po żywej kilkugodzinnej walce odrzuceni w nieładzie ku podnóżom Apeninów. 100,000 Włochów zabrano do niewoli. Na drugi dzień po bitwie, król włoski prosił o zawieszenie broni, na które się zgodzono pod warunkiem, że wojska jego opuszczą linję Adygi. Zanim upłynął termin zawieszenia broni, Włochy zawarły ze sprzymierzonemi pokój, odstąpiwszy Austrji Wenecję aż po Adygę.

Tym sposobem cel, jaki sprzymierzeni założyli, został znacznie uproszczony.

W takich okolicznościach należałoby sądzić, że przyszła chwila, w której i Francja powinna była żądać interwencji dyplomatycznej, tembardziej, że Niemcy nie żądały od niej żadnych nowych ustępstw terytorjalnych. Lecz dyktator Gambetta sądził, że może zaryzykować. Po nieszczęsnej kampanii 1880 r. utracił on wielką część swojej powagi we Francji; Bonapartyści i stronnicy pokoju osiągnęli większość w Izbach. To też, gdy w końcu lutego 1881 roku potężne massy Prusaków skoncentrowane nad Renem, wzmocnione jeszcze zostały armją austrjacką posuwającą się ku Belgii, parlament odebrał dyktaturę adwokatowi i obrał prezydentem rzeczypospolitej księcia Napoleona. Ten zawiązał układy z Niemcami. Francja zdecydowała się na potwierdzenie ustępstwa Alzacji i Lotaryngji, zapłacenie 12 miljardów franków kosztów wojennych, i na przyłączenie się do ogólnego rozbrojenia Europy w r. 1881. Takim był przebieg sławnej wojny r. 1880 — 1881, której rezultatem była konsolidacja cesarstwa niemieckiego, jakoteż ścisły związek Niemiec z sąsiednią Austrją, tak, że odtąd Europa znalazła w Niemczech — potężną gwarancję pokoju, której zawdzięcza nadzwyczajny rozwój prac pokojowych we wszelkich kierunkach, jaki widzimy od lat pięćdziesięciu.

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uchylił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzosta często przybiegał, zajęty

płaczem przy chorej matce ani razu się nie pokazał. Bieda Boruty znaną była we wsi, ale od czasu jak przestała być wyjątkową, od chwili, gdy głód i choroby spadły na większą część mieszkańców Nędzy, nie zwracano na niego szczególnej uwagi. Jednych pochłaniała własna niedola, drugich przerażała groźba zarazy — i dlatego nikt do domu Klemensa przez cały dzień nie zajrzał. Dopiero wieczorem, skłopotany chorobą żony rymarz przyszedł ulżyć smutkowi. Odrazu jednak spostrzegł, że tu pogasły wszystkie promienie nadziei i że nieszczęście rozpostarło swój mrok złowrogi. Pod piecem, na tem samem miejscu, gdzie padła, leżała nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały się syczące oddechy. W kącie, na barłogu, rzucał się rozgorączkowany Boruta, trapiony jakiemiś widzeniami. Przy drugiej ścianie Brzost nie dawał znaków życia.

— Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

— Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz słabym głosem. — Kto to?

— Ja.

— Ty Józefie -- o, mój drogi, co się dzieje? Słyszę jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy kto umiera.

— Klemens z córką chorzy.

— Chorzy — powtórzył stary — to już wszystkim koniec. Aby prędzej.... aby prędzej... Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze... Prosiłem Klemensa: dobij, nie chciał. Teraz nie ma nawet komu dobić... Straszna godzina! Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia. Nie masz ciepłej kropli, bo mi wnętrzności marzną?

— Żona chora — odrzekł zrozpaczony rymarz, a usłyszawszy w swem mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Świszczące oddechy Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobudzały co chwila imaginację opuszczonego starca, który powoli zapadł w stan nieprzytomnego rozdrażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bardziej rozstrajać.

— Nie wypędzę owiec — mówił w malignie — bo dużą rosa... Klein mnie wypędzi. Burek, do nogi... podły pies... poczciwy... zdechł... z głodu... Brzost sam nie miał chleba, jemu nie dał... Ślepy, świata nie zobaczy, własnych rąk swoich nie widzi, któremi koszyki pleść musi... Dobij maro... ja się sądu ostatecznego nie boję. Z ciałem nie wstanę, bo uschło... Ps! licho, nie pokazuj mięsa, bo to glina... Brzost chory ale nie głupi...

Tak długo jeszcze bredził dogorywający starzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać niezrozumiałe dźwięki, potem tylko drgały niemo... usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieść o przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdrowia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną naprędce z ofiar jałmużnę. Skupiła się też przed dworem gromada obdartych, wynędzniałych biedaków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozumieniu się z rządcą obaj urzędnicy postanowili przedewszystkiem odbyć rewizję mieszkań. Dom Boruty stał pierwszy przy drodze od dworu, do niego więc naprzód wstąpiła komisja, której towarzyszył orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej izbie, leżały trzy wyschłe, nieodziane, okropną woń ziejące ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

— Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę owczarza, która bezwładnie opadła.

— Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który się ze swej izby wysunął.

— Trzeba go wynieść — mówił doktor — bo powietrze zaraża.

— A co tym jest? — spytał landrat.

— *Genius epidemicus.* Co tu myśleć o zdrowiu? Gdyby ich dziś na nowo stworzyć, jutro by pomarli.

Z kolei opatrzono drugą stronę domu.

— *Genius epidemicus* — powtórzył lekarz, wychodząc, i z całym orszakiem udał się do następnej chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku włościan tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnych. Tak więc Boruta z córką dostał się pod jakąś opiekę. Tegoż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prostą, ze starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabełkotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem.

— Dziadku, dziadku! Koszyki!...

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędzej zawróci?

Niech czytelnik wszakże nie sądzi, ażeby po odwiedzinach komisji warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki zupełnie się zmieniły. Bynajmniej. Wprawdzie najęta przez »towarzystwo« baba zamiotła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im potrosze przywiezionego z fabrycznej apteki kalomelu, ale o żadnem pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Za dużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Wkrótce bowiem *genius epidemicus* znany był w polskim przekładzie i ludność wiedziała, co jej grozi. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. I cóż to był właściwie ów *genius epidemicus?* Już w piątym dniu słabości Boruty i jego córki uważne oko mogło na całem ich ciele, z wyjątkiem twarzy, dostrzedz tak zwaną *różyczkę* -- z początku bledsze, później coraz barwistsze, czerwone plamy, będące charakterystycznym znakiem tyfusu wysypkowego, owego nieodłącznego towarzysza wielkich głodów. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał napozór przytomność, bo mówił, odpowiedzi wszakże jego, połączone z silnemi napadami maligny, zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawiał on postać palącego się w gorączce słupa. Język mu ostrupiał, oczy się przekrwiły, gardło grało rzężeniem, dziąsła i zęby pokryły się kleistym okładem, nozdrza sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przymkniętemi, mrucząc niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer, który na ten raz przyznawał sobie szczególniejszą znajomość »petoci,« znacząco nad nią kiwał.

— Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma. Cała orkiestra.

Rzeczywiście w piersiach dziewczyny grała cała orkiestra rozmaitych skrzeczących i świszczących skrzypień. Ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyschła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się choremi baba, spostrzegłszy, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważała:

— Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby:

— I tę możecie już wynieść.

Umarła. Zgodnie z przepisami sanitarnemi uprzątnięto ją natychmiast. Gdy grabarz zabijał trumnę, Boruta znowu otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zakaszlał się i padł na posłanie. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrot nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta ciągle nieprzytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjacielem i córką podąży.

W dwa dni po drugim pogrzebie, felczer zauważył silne opadnięcie gorączki u chorego, zblednienie plam i poty.

— Tego zgryźć nie łatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorączkowym, obezwładniającym, ale jakimś głębokim i zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał żądania sposobem ujawniającym powrót przytomności. Powoli znikły z ust, języka i nosa chorobliwe znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany. Szeroko rozniesiona wieść o głodzie na Szląsku wywołała w Niemczech i po za ich granicami hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy. Zawiązane początkowo »towarzystwo« rozszerzyło się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym. Zwłaszcza dary i składki z Królewstwa Polskiego, przesyłane do komitetów głodowych, spadły na Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta leżał w opalonej izbie, dostawał potrzebne lekarstwa i pokarmy, miał świeżą słomę, czystą bieliznę i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pokrzepiającym śnie, otworzył oczy, rozejrzał się po zmienionej izbie, powiódł okiem po flaszce z lekarstwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna kobiecie. Widocz-

nem było, że nie rozpoznaje swego położenia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.

— To wy Rafałowa?— zapytał drżącym głosem.

— Ja — a czego to?

— Gdzie Marcysia?

— Oho! wysoko. Modli się za was.

— Umarła?! — krzyknął Boruta.

— I lepiej.

Głęboki rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi Klemensa, który zamknąwszy cieknące łzami oczy, leżał długo niemy.

— Brzosta wyrzucili?

— Wrzucili... do grobu.

Boruta znowu zamilkł i popadł w stan bezwładności. Zaczął na jawie, czy we śnie majaczyć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał ciągle imię córki i owczarza, skarżył się i żalił.

Felczer znalazł go bardziej osłabionym i rozgorączkowanym.

— Czy nie zjadł czego?

— Nie — odrzekła Rafałowa — dowiedział się że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan niezdecydowany. Nareszcie Boruta obudził się. Patrzał jak wprzódy, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu spytał:

— A kto też, moja Rafałowo, uratował mnie i dał mnie wszystko?

— Chyba komisja, ksiądz albo landrat — odrzekła.

— Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

— Ano juści, przecież to do nich przysyłają pieniądze z zagranicy... z Warszawy... Polaki. Wszystkim głodnym dają, nietylko wam.

— Polaki — szepnął Boruta zdziwiony, utkwił nieruchomo oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O czem? Mówić nie będę; to tylko dodam, że blada jego twarz drgała silnem wzruszeniem. Nawet i dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem, co mu Rafałowa powiedziała.

KONIEC.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

Wiadomo wszystkim, że im dalej idziemy od równika ku północy lub południowi, im bardziej się zbliżamy do biegunów, tem w czasie lata dnie stają się dłuższe. Naturalnie, że to powstać nie może bez wpływu na roślinność, która tak zależną jest w swym fizjologicznym rozwoju od promieni słonecznych. J. A. Broch ogłosił nad tym przedmiotem swe spostrzeżenia, których treść na tem miejscu podajemy.

Im bardziej idziemy na Wschód, od wielkiego prądu morskiego, zwanego Golf Streamem, który ciepłą wodę z wybrzeża zwrotnikowej Ameryki przynosi ku wybrzeżom europejskim, tem surowszym staje się klimat, w jednej i tej samej szerokości geograficznej. I tak Skandynawia oraz Finlandja posiadają klimat wyjątkowo łagodny, zważywszy, że leżą tak daleko na północy. Na tej samej szerokości w Ameryce północnej i Azji ziemia jest prawie bezpłodną, w porównaniu z bogactwem roślinności w tych krajach. Przyczyna tego leży właśnie w tem, że Golf Stream przynosi olbrzymią ilość ciepłej wody i dobija w swym biegu do brzegów Norwegji około 60° szerokości północnej. Okoliczność ta, wspólnie z różnicami w geologicznej formacji sprowadza różnice klimatyczne, w krajach Europy północnej.

Profesor Schübler w Chrystjanii dowiódł, że zboże i inne rośliny, prędzej dojrzewają w okolicach północnych, niż na południu. Nasiona tam zebrane przechowywują po części swe własności i na południu. W regionach północnych zwykle używają północnego ziarna. Obok tego przekonano się, że rozmaite gatunki zbóż i roślin są bogatsze w węglowodory, aniżeli te, które się zbierają na południu. Barwa ich jest ciemniejszą i botanicy cudzoziemscy, zwiedzający Norwegję, oraz inne kraje daleko na północ wysunięte, zadziwieni są ciemnym zielonym kolorem liści i jaskrawością tych kwiatów, które rosną i na północy i na południu. A ponieważ bogactwo barw rośnie z posuwaniem się ku biegunowi, przeto niektóre drzewa i rośliny uważano dawniej jako osobne odmiany. Liście nawet na północy dosięgają większych rozmiarów, niż liście tych samych drzew hodowanych na południu. Schübler zauważył, że nawet zapach owoców, kwiatów i liści jest daleko silniejszym im bardziej posuwamy się co do szerokości geograficznej ku biegunowi. W zastosowaniu praktycznem, własności te nie zawsze są pożyteczne. I tak np. tytoń w Norwegji hodowany, jest do niczego, bo zawiera zbyt wiele lotnych olejków i nikotyny. W proporcji jak zapach wzrasta, słodycz natomiast się zmniejsza; jagody i owoce północy są mniej słodkie, niż te same płody u nas wyrosłe. Gruszki np. północne są cierpkie i kwaskowate, co wcale ich zalety nie stanowi.

Te wszystkie fakta, również jak i szybki wzrost roślin na północy, przypisać należy przeciągłemu działaniu promieni słonecznych. I rzeczywiście, w Chrystjanii, podczas letniego solstycyum, słońce chowa się pod horyzont, tylko na 5 godzin i 17 minut; w Trondhjem na 3 godziny 34 minuty W Bodöe słońce wcale się nie chowa od 2-go czerwca do 11-go lipca a w Hammerfeście od 15-go maja do 29-go lipca. W tych czasach, jeśli jest ładna pogoda promienie słoneczne ze wszech stron padają na rośliny i dają im potrzebne światło i ciepło.

* * *

Na ulicach Londynu zaczynają obecnie wchodzić w modę szczególniejszego rodzaju plakaty. W dzień biały afisze takie niczem się nie różnią od innych: czarne litery na białem tle. Ale wieczór, gdy już słońca nie widać błyszczy to tło fosforycznem światłem i litery ciemne na niem dobrze rozpoznać można. Plakaty te zwykle umieszczają się w ciemnych zakątkach, pod gzymsami, aby je zbytnio nie oświetlało światło od latarni. Patent na tego rodzaju reklamę posiada p. Ihlee a urządzenie całe nie jest wcale tajemnicą. Papier, odpowiedniego formatu, pokrywa się przedewszystkiem cienką warstwą pewnego gatunku *siarczku wapniowego*, który ma jak wszystkim wiadomo, własność fosforyzowania w ciemności. Gdy w dzień wystawi się to ciało na słońce, to ono w nocy świeci potem przez kilka godzin tak, jakby poprzednio promienie słoneczne pochłonęło i potem je z siebie wypromieniowało. Ta cienka warstewka pokrytą jest z wierzchu przezroczystym werniksem na którym już druk odbija się zwykłem czernidłem drukarskiem. Urządzenie tego rodzaju jest tak prostem, iż sądzimy, że niedługo rozpowszechni się po wszystkich większych miastach.

Obok tego p. Ihlee wyrabia tapety fosforyzujące, tak zwane *captive light stores*, które w nocy wydają bardzo łagodne i miłe dla oka światło, jeśli przedtem na światło dzienne wystawione były. Różnokolorowe wzory wychodzą na jaw w ciemności, i światło jest tak silnem, że zarysy przedmiotów w całym pokoju poznać można.

LISTY Z CZECH.

III.

W marcu 1880.

Zaczynamy list dzisiejszy wspomnieniem o uroczystości, jaką literacki świat czeski dnia 24. lutego obchodził. Dnia tego ujrzała pięćdziesiąt lat temu światło, jedna z najszlachetniejszych niewiast czeskich i największa pisarka Karolina Svetlá. Zasługi tej genialnej kobiety około literatury czeskiej w ciągu ostatnich lat dwudziestu, są tak wielkie, że było to naszym obowiązkiem, obchodzić uroczyście jej jubileusz. Dziś Swetlá stoi nietylko na czele najlepszych naszych nowelistów i romansopisarzy, lecz także i w rzędzie najlepszych romansopisarzy światowych! Imię jej znane jest u nas każdemu i rozniosło się po dalekiej obczyznie. U Was, w bratniej Polsce, już jest ona tak dobrze znana, jak w swym kraju, bo wiele z jej najznakomitszych dzieł, zostało przełożonych na polskie przez znanego waszego slawistę p. Bronisława Grabowskiego i jego żonę Marję. Ci dwaj małżonkowie pisarze, pilnie się zajmują literaturą naszą i starają się jak można najwięcej duchowych płodów naszych znakomitych mistrzów pióra, wprowadzić w misternych przekładach do Waszej literatury. Niech im będzie za to na tem miejscu wyrażona najserdeczniejsza podzięka!

Karolina Svetlá urodziła się w Pradze 24. lutego 1830 r. Rodzice jej byli mieszczanami pragskimi. W Pradze nabyła ona pierwszego wykształcenia, tam przeżyła najlepsze chwile swego życia młodociannego, które w swych „Upominkàch,“ drukowanych w miesięczniku „Oświata,“ żywemi barwami maluje. Wspomnienia te są jedną z jej najpiękniejszych, najlepszych prac.

W roku 1852 wyszła za profesora Mużaka, urodzonego w Svetii pod Jestedem. Od tego czasu dojeżdżała Svetlá do czarownych krain Jestedskich, a od tej wioski Svetli, wzięła sobie swój literacki pseudonim. Właściwe jej nazwisko było Joanna Rottowá.

W koła literackie została Svetla wprowadzona nowym ruchem, który nastał wskutek wydania almanaku „Maj.“ Tu się często spotykała z niezapomnianym piewcą V. Halkiem. Już w drugim roczniku „Maja“ wystąpiła Swetlá z nowellą „Dvoje probuzeni“ a od tej doby jest stale czynną na polu literackiem. Na miłą polszczyznę są przełożone z najpiękniejszych prac jej, następujące: „Kilka kartek z rodzinnej kroniki“ (w Kółku domowem z r. 1867). „Jeszcze z rodzinnej kroniki“ i „O Anusi krawców-

nie“ (Wędrowiec 1871.); „O świcie“ (w Tygodniku romansów i powieści). Największe wrażenie zrobił, jak nam wiadomo, romans „Krzyż nad potokiem“ (w Bluszczu) „Romans wiejski“ (w Kłosach) „Kilka dni z życia pragskiego dandysa“ (w Ruchu literackim) i „Ciotka Wawrzyńcówna, przyczynek do charakterystyki ludu czeskiego“ (w Bibl. Warsz. 1880) Prawie wszystkie te powieści i nowelle przełożyli małżonkowie Grabowscy. W ostatniej chwili wydała pani Marja Grabowska opowiadanie Svetli p. t. „Córka kamieniarza“ i zaopatrzyła je w wyborną przedmowę, w której szlachetna ta Polka charakteryzuje Svetlę z wielką znajomością rzeczy, a którą polecamy czytelnikom naszych listów do przeczytania. Większych prac Svetli wyszło 52. Większość pomieszczoną jest wczasopismach. W ostatnim czasie zaczęły wychodzić dwa zbiorowe wydawnictwa dzieł naszej autorki. Jeden zbiór wydaje księgarnia S. L. Kobra a drugi Gregra i Dattla w Pradze.

Z innych jej czynności zasługuje przedewszystkiem na uznanie, jej dbanie o życie społeczne kobiet w Pradze, o wykształcenie i wychowanie czeskich dziewcząt w kierunku umiejętnym i praktycznym, czego dokonywa w „Ženskim vyrobnim spolku ceskem“ przez nią w 1870 r. ku założonym. We wszystkiem i wszędzie znać było dzieła jej znakomitego umysłu i serca szlachetnego.

Uroczystość jej piędziesiątego dnia urodzin była pięknem świętem. Zewsząd przybywały dowody uznania i czci. Młodzi poeci podali mistrzyni piękne album z 17. własnorecznie pisanymi wierszami. Prześliczny adres zotał przysłany przez były „Klub amerických dam“ i „Ženský vyrobni spolek.“ „Umelecka beseda“ podała Svetli dyplom członka honorowego. Oprócz tego otrzymała Svetla mnóstwo odezw, telegramów, wieńców, od jednostek i stowarzyszeń.

Niech jeszcze długo, długo nam świeci ta gwiazda słowiańskiego piśmiennictwa!

Niedawno założonem zostało w Pradze towarzystwo miłośników języka i literatury polskiej. Dyrektor Emanuel Tonner zagaił walne zgromadzenie, objaśniając cele i doniosłość nowego tego stowarzyszenia. Z wyborów prezesem został wybrany Emanuel Tonner, zastępcą prezesa J. Mokry. Lokalu udzieli „Umelecka Beseda“, gdzie już był dnia 29. lutego urządzony pierwszy wieczór. O czynnościach przyszłych tego stowarzyszenia, będziemy mieli niejednokrotnie sposobność do pomówienia.

Zwracamy uwagę na dziełko, które wyszło w Krakowie, w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest to zestawione przez Czecha, dobrze w Polsce znanego, pana Edwarda Jellinka, „Bibljografja dzieł, rozpraw i artykułów czeskich dotyczących rzeczy polskich“ (do końca r. 1877). Jest to obszerne i dokładne zestawienie tego, co w naszem czeskiem piśmiennictwie pisano o Polsce i Polakach, tak w książkach jak i czasopismach oraz dziennikach. Spis ten wyszedł nakładem komisji filologicznej krakowskiej akademji umiejętności.

Nakładem wielce szanownego księgarza i nakładcy J. Otty w Pradze wychodzi obecnie w zeszytach wielkie znakomite dzieło pod tyt.: „Siedm lat w południowej Afryce. Przygody, badania i łowy w wycieczkach mych od pól djamentowych do rzeki Zambesi (1872 — 1879). Napisał dr. Emil Holub“. Rzadko się zdarza, aby jeden człowiek dokonał tak wielkiego dzieła. Znajomością rzeczy, wytrwałem badaniem i gorliwością w obieraniu przedmiotów z dziedziny ziemioznawstwa i ludoznawstwa, odkryciem wielu rzeczy nieznanych dotychczas w Europie, dr. Holub staje obok pierwszorzędnych podróżników. Podróż jego opisaną jest bardzo zajmująco, żywo i pouczająco, stylem dla każdego zrozumiałym. Dzieło ozdobione jest mnóstwem rycin, map i portretem autora. Dzieło sławnego Słowianina wychodzi lub wychodzić będzie w kilku językach jednocześnie i zasługuje na rozpowszechnienie w całej Słowiańszczyznie. Obyśmy się niedługo dowiedzieli, że podróż dra Holubia i polskiemu społeczeństwu przystępną się stanie.

Ar. Sch. Polabsky.

DOLA

(Z SZEWCZENKI).

Oj, po górze kwiat się wspina.
W dole idzie kozaczyna;
Idąc biedę rozpytuje,
Gdzie ta dola zamieszkuje?

Może w karczmach z bogaczami?
Albo w stepach z czumakami?
Albo w polu igrać woli?
I z wiatrami gdzieś swawoli?

Nie tam, nie tam, panie bracie
U dziewczyny w cudzej chacie,
Gdzieś w ręczniku i chusteczce
Przechowuje się w skrzyneczce.

L. Sowiński.

TRYUMF NAUKI.

Zmęczony politycznemi plotkami i całym smutkiem doniesień bieżącego życia, telegraf miał w ubiegłym tygodniu jedną wielką chwilę, w której zadrgał radośnie, gdy rozniósł po świecie wiadomość o świeżym tryumfie nauki — przebiciu góry św. Gotarda. Fakt ten, tak z pozoru małoważny, dopóki nie był spełniony, tak daleko leżący po za sferą przedmiotów, na których spoczywa ciągle nasza uwaga, wyrósł nagle do olbrzymiej miary. Gazety zapomniały o politycznych „chmurach“, o dyplomatycznych notach, o głośnych skandalach, naraz zwróciły się do jednej pieczary, ażeby przed jej bramami uczcić — co? Czy pracowitość robotników, którzy przekop wykuli? Czy szczęście ubogich wiosek, które tunel obdarzył nadzwyczajnem życiem? Czy korzyści, jakie nowa droga zapewni międzynarodowym stosunkom? Zapewne, wszystko to pada na wagę naszych sądów o tym wypadku; ale co w nim głównie nas oślepia, to owo potężne światło ludzkiej wiedzy, która przedsięwzięć takich dokonywa. Przebicie grzbietu Alp, jest bez zaprzeczenia dziełem wielkich środków materjalnych, dziełem wielu tysięcy rąk, ale nadewszystko owocem nauki. A czy tej może, która w dewockie szaty otulona, odżegnywa się ciągle od każdej swobodnej myśli, od każdego pokuszenia rozumu? Nie, tej nauki, w której fanatyzm widzi wroga, którą kamienuje lub na krzyżu rozpina. Długo ludzka wiedza szła obryzgana błotem oszczerstw, zanim dobiła się do tej wyżyny, na której dziś takie cuda stwarza. Obchodzą jej święto najciemniejsze tłumy, bo widzą, bo dotknąć się mogą olbrzymiego jej dzieła. Odwróciwszy się od tego wspaniałego widoku, rozpoczną niezawodnie dalej pracę nienawiści dla śmiałych wzlotów ludzkiego ducha, dopóki ich znowu kiedyś nie zadziwi swoim tryumfem. Bo taka jest smutna kolej postępu. Nie wylewając łez nad jej fatalną koniecznością, nad złorzeczeniem jednych pokoleń temu, przed czem drugie ze czcią uklękną, przypatrzmy się olbrzymiemu owocowi genjuszu i pracy.

Przed laty ośmiu towarzystwo kolei Gotarda pomieściło we wszystkich większych dziennikach Europy wezwanie o udział w przedsięwzięciu tem, którego przeszkód niepodobna było obliczyć, wymagało wielkich sił technicznych i finansowych. Ów tunel wzniesiony o 1100 metrów nad powierzchnię morza, miał być przebity w długości 14.920 metrów i przewyższać wszystko, co dotąd w tym rodzaju zrobiono *). Z siedmiu nadesłanych (do 18 maja 1872 r.) ofert, dwie cofnięto, trzy nie przedstawiały dostatecznej rękojmi. Pozostał więc wybór między Włoskiem Towarzystwem robót publicznych (które przebiło Mont-Cenis) i genewskim przedsiębiorcą Ludwikiem Favrem. Utrzymał się ostatni; gdy bowiem Towarzystwo Włoskie żądało dla budowy 9 lat, on poprzestał na 8; gdy ono zobowiązało się do zapłacenia 8 milionów franków kary dopiero wtedy, gdyby po 11 latach tunel nie był wybudowany, Favre ograniczył termin do lat 9 pod następującemi warunkami: „Tunel Gotarda winien być zbudowany zupełnie w ciągu lat 8, licząc od dnia zatwierdzenia umowy przez Szwajcarską Radę Związkową. Towarzystwo kolei Gotarda zapłaci p. L. Favre'owi 5.000 fr. za każdy dzień ukończenia wcześniejszego, nawzajem p. Favre straci z należności swojej 5.000 fr. za każdy dzień opóźnienia w ciągu pierwszych 6 miesięcy a 10.000 fr. za każdy dzień zwłoki w ciągu tyluż miesięcy następnych. Gdyby zaś opóźnienie przekroczyło rok cały, p. Favre traci całą swą kaucję na rzecz Towarzystwa.“ Zaiste trzeba było wielkiej, w dotychczasowej technice bezprzykładnej odwagi do podjęcia tak ryzykownego przedsiębiorstwa. I któż się na nie rzucił? Prosty czeladnik ze wsi Chene pod Genewą, który wytrwałą pracowitością, bez szkolnego wykształcenia wzniósł się na tak wysokie stanowisko.

Brak nauki wynagrodził sobie wiedzą znakomitych inżenierów, którymi się otoczył, sam zaś posiadał nadzwyczajną bystrość, żelazną energię, wielki talent organizacyjny i tę zdolność, która nie lekceważy szczegółów, ale ciągle całość obejmuje.. Z temi środkami przystąpił do budowy tunelu śród przeszkód, które naprzód pobieliły mu szronem głowę, a wreszcie...

W wrześniu 1872 r. rozpoczęto roboty z dwu przeciwległych stron — od Göschenen i Airolo. Z początku szły one wolno. Niespodziewane trudności (walenie się skał, zalewy, wybuchy dynamitu, bunt robotników, pożary) ciągłe prze-

*) Dla porównania przytaczamy rozmiar innych przekopów:

Tunel w Mont-Cenis ciągnie się 12,233 m.
— Hoosac w Massachusetts — 7622 m.
— Sutro w Newadzie — 6205 m.
— Kochemer na koleji Mozeli — 4205 m.
— Dettenberg szwajc. kol. półn. wsch. — 1800 m.
— Spitzberg, Pilsen-Dogoendorf — 1748 m.
— Sonnstein, Salzkamer — 1429 m.
— Zimmeregg, Bern-Lucerna — 1139 m.
— Teterchen, Metz-Saarlouis 1075.

rywały pracę. Potężna jednak energja zdołała je pokonać a nawet niektóre (wodę) do usług zaprządz. Pod koniec pierwszego roku przebito z obu stron190 metrów, w 1873 już 1796, w 1874 do 2980, w 1875 — 5409, w 1876 — 7436. 1877 do 9600, 1878 — 12199, w 1878 — 12555, a 29. lutego 1880 — 14.920 Liczba robotników wzrastała równolegle z postępem robót. Rozpoczęto je z 207., a skończono z 2931. Cyfry te dają dostateczne wyobrażenie o wielkości tego najznakomitszego w nowożytnej technice dzieła, które do 1 października b. r. ma być zupełnie ukończonem, jeśli Towarzystwo kolei Gotarda uprze się przy swoim terminie. Szczery żal ogarnia nas przy tym tryumfie nauki, że go nie dożył, że uwieńczenia pomyślnym skutkiem swych myśli nie widzi śmiały przedsiębiorca. Zeszłego bowiem roku, 19 lipca, Ludwik Favre zmarł nagle w tunelu, który dziś jest jego pomnikiem, trwalszym od wszelkich nagrobków. Przebrzmi dawno krzykliwa sława wielu dzisiejszych bohaterów, a potomność ze czcią wspominać będzie nazwisko ciesielczyka z Chene, które jej każde gwizdnięcie lokomotywy w tunelu przypomni. Nie możemy lepiej uczcić tego olbrzymiego dzieła i jego twórcy, jak powtarzając słowa jednej z niemieckich gazet: „Stań wędrowcze! Zatrzymaj na chwilę swoje kroki spiesząca się ludzkości, strząśnij ze swego strudzonego umysłu wszelkie troski, odwróćić się od pustej wrzawy czasu i spójrz na to dzieło pokoju, które jest tryumfem nauki, kolosem techniki i postępem ku wyrównaniu międzynarodowych przeciwieństw, jakiego nasz wiek już może po raz drugi nie dokona."

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIII.

Marceli Bruckmann do profesora Schultze'a, Stahlstadt.

Francja - Miasto, 14. września.

„Mniemam, że wypada mi zawiadomić Stalowego króla, że przedwczoraj wieczór bardzo szczęśliwie przebyłem granicę jego posiadłości, przedkładając własny ratunek nad ocalenie modelu armaty Schultze'a.

„Takim sposobem, żegnając pana, nie dopełniłbym obowiązków moich, gdybym ja także nie wykrył przed nim tajemnic moich; ale bądź pan spokojny, poznaniem ich nie opłacisz życiem swem.

„Nie nazywam się Schwartz i nie jestem Szwajcarem. Jestem Alzatczykiem. Nazwisko moje jest Marceli Bruckmann. Jestem inżynierem nie złym, jeżeli mam panu wierzyć, ale przedewszystkiem jestem Francuzem. Jesteś nieubłaganym nieprzyjacielem mego kraju, moich przyjaciół, mojej rodziny. Powziąłeś haniebne zamiary przeciw tym wszystkim, których kocham. Odważyłem się na wszystko, wszystko zrobiłem, by je poznać! Zrobię wszystko, by je zniweczyć.

„Spieszę donieść panu, że pierwszy cios jego chybił, że cel twój, dzięki Bogu został niedopięty i że nie mogło być nawet inaczej! Pomimo to wszakże — wyznać muszę — że armata pańska jest arcycudowną, ale pociski, które pod takim ładunkiem prochu wyrzuca i które mogłaby wyrzucać, nikomu nie zrobią nic złego! Nigdy nie spadną nigdzie. Przeczuwałem to, a dzisiaj jest to już faktem spełnionym na wielką sławę pańską, że doktor Schultze wynalazł straszne dzieło.. zupełnie nieszkodliwe nikomu.

„Z przyjemnością zatem dowiesz się pan, że widzieliśmy wasz granat nadto wydoskonalony, jak o godzinie jedenastej, czterdzieści pięć minut i cztery sekund, przeleciał po nad miastem naszem. Dążył ku zachodowi, krążąc w próżni, i tak wirować będzie aż do końca wieków. Pocisk, mający szybkość pierwotną dwadzieścia razy wyższą od szybkości rzeczywistej, to jest przebiegający dziesięć metrów na sekundę, nie może już „spaść!" Ruch jego własny połączywszy się z przyciąganiem ziemi, zamienia go na ciało, którego przeznaczeniem jest wiecznie wirować koło naszej ziemi.

„Powinienbyś pan wiedzieć o tem.

„Nadto, mam nadzieję, że po tej pierwszej próbie armata Wieży Byka zupełnie jest zniszczona; w każdym razie jednak, dwieście tysięcy dolarów, to nie jest nadto drogo zapłacono za przyjemność, jakąś pan sobie zrobił, obdarzając świat planetarny nową gwiazdą a ziemię drugim satelitą.

„Marceli Bruckmann."

Umyślny posłaniec wyruszył niezwłocznie z Francji Miasta do Stahlstadtu. Można wybaczyć Marcelemu, że nie umiał odmówić sobie złośliwej tej przyjemności i list swój wysłał zaraz do Herr Schultze'a.

Marceli miał w istocie słuszność, kiedy utrzymywał, że znakomity granat, obdarzony taką chyżością i wirujący po za obrębem atmosferycznej warstwy, nie spadnie więcej na powierzchnię ziemi — miał także słuszność, kiedy spodziewał się, że po tym ogromnym ładunku bawełny strzelniczej, działo Wieży Byka musi być zepsute zupełnie.

List ten zadał cios straszny Herr Schultze'owi i jego miłości własnej. Czytając go, posiniał cały, głowa opadła mu na piersi, jak gdyby pod uderzeniem maczugi. Z tego stanu bezprzytomności wyszedł dopiero po kwadransie, ale w jaki gniew wpadł! Tylko Arminius i Sigimir mogliby powiedzieć, jakie były wybuchy gniewu tego!

Ale Herr Schultze nie był to człowiek, coby chciał uznać, że jest zwyciężonym. Między nim a Marcelim miała rozpocząć się walka zawzięta. Czyż nie pozostały mu jeszcze jego granaty, nieładowane płynnym dwutlenkiem węgla, które z małej odległości działa mniej potężne ale więcej praktyczne ciskać będą mogły?

Nagłem wysileniem uspokoiwszy się, król Stalowy wszedł do gabinetu swego i zajął się znowu pracą.

Oczywiście, że Francja - Miasto więcej niż kiedy zagrożone, powinno było zaopatrzyć się we wszelkie możliwe środki obrony.

ROZDZIAŁ XIV.

Przygotowania do walki.

Niebezpieczeństwo nie było bliskiem, ale nie przestało być groźnem. Marceli opowiedział doktorowi i jego przyjaciołom wszystko co wiedział o przygotowaniach Herr Schultze'a i o jego maszynach niszczących. Zaraz nazajutrz Rada obrony, w której wziął udział, zajęła się ułożeniem planu oporu i przygotowaniami do niego.

We wszystkiem tem dopomagał Marcelemu Oktawjusz, który bardzo korzystnie zmienił się pod względem moralnym.

Jakie postanowienia zapadły? Nikt nie znał szczegółów. O głównych tylko zasadach systematycznie zawiadamiano prasę i te tylko rozchodziły się między publicznością. Łatwo w tem poznać było można praktyczną rękę Marcelego.

„W każdej obronie — mówiono tak na mieście — najważniejszą jest rzeczą dobrze znać siły nieprzyjaciela i system odporu zastosować do tychże sił. Lepiej jest jednak mieć do czynienia z armatami, których znana jest liczba, kaliber, doniosłość i skutki, aniżeli walczyć z mało znanemi maszynami."

Najgłówniejszą rzeczą było nie dopuścić do opasania miasta czy to od lądu, czy od morza.

Nad tą kwestją właśnie pilnie pracowała Rada obrony, i kiedy wreszcie afiszem ogłosiła, że zadanie to zostało rozwiązane, nikt o tem nie wątpił. Obywatete tłumami zbiegli się, proponując pomoc swą do potrzebnych robót. Nie pogardzano żadną pracą, która mogła przyczynić się do dzieła obrony.

Ludzie rozmaitego wieku, rozmaitego położenia, stawali się prostymi robotnikami przy tej okoliczności. Praca szła wesoło i szybko. Sprowadzono do miasta zapasy żywności dostateczne na dwa lata. Zaopatrzono się też w znaczne ilości węgla kamiennego i żelaza: żelazo, jako pierwszą podstawą uzbrojenia; węgiel, jako rezerwoar ciepła i ruchu, jedno i drugie koniecznie potrzebne w walce.

Węgiel i żelazo składano na placach, olbrzymie zaś stosy worów z mąką, sztuki wędzonego mięsa, sterty serów, góry konserwów i suszonych jarzyn układano w hallach, zamienionych na magazyny. Liczne stada bydła zamknięto w ogrodach, które z Francji - Miasta robiły jeden wielki trawnik.

Nakoniec, kiedy wydano rozkaz mobilizacji dla wszystkich mężczyzn, mogących nosić broń, zapał, z jakim przyjęto to rozporządzenie, wykazał raz jeszcze doskonałe usposobienie żołnierzy-obywateli. Ubrani w krótkie wełniane kaftany, płócienne spodnie, pół-buty i dobre skórzane kapelusze, uzbrojeni w fuzje Werder, wprawiali się w manewra na wszystkich aleach.

Roje chińskich robotników kopały ziemię, robiły fosy, wznosiły okopy i reduty, gdzie tylko można było. Rozpoczęto wylewać działa i czynność tę prowadzono bardzo gorliwie. Do robót tych doskonale przydały się piece dymożercze, których wielką ilość posiadało miasto, a które teraz zużytkowano. zamieniwszy je łatwo na piece do odlewów.

Wśród tego bezustannego ruchu, Marceli okazywał się niestrudzonym. Był wszędzie i wszystkiemu podołać umiał. Umiał też rozwiązywać natychmiast wszelką trudność, czy to praktyczną czy teoryczną.

W razie potrzeby zawijał rękawy i sam pokazywał jakiś prędki sposób, jakiś ruch szybki w robocie. To też miał wielką powagę u wszystkich i rozkazy jego spełniano zawsze jak można najściślej i bez szemrania.

Przy nim Oktawjusz robił co mógł. Na razie miał wprawdzie chętkę suto ozdobić swój mundur złotymi galonami, ale wkrótce zrzekł się tej myśli, zrozumiawszy, że służbę swą musi zacząć od obowiązków prostego żołnierza.

To też zajął miejsce we wskazanym sobie batalionie i zachowywał się w nim jako wzorowy żołnierz. Tym, którzy z początku ubolewali nad nim, odpowiadał:

„Każdemu podług zdolności jego. Możebym nie potrafił rozkazywać!... Niech się przynajmniej wyuczę słuchać!“

Pewna wiadomość — fałszywa wprawdzie — dodała nagle robotom tym większego bodźca jeszcze. Herr Schultze, powiadano, wchodził w układy z morską kompanją, co do przewozu dział swoich. Od dnia tego „kaczki“ gazeciarskie szły jedna za drugą. Raz mówiono, że flota Szulcowa zatonęła, to znowu, że kolej żelazną do Sacramento zburzyli „ułani“, którzy spadli byli z nieba zapewnie.

Ale te pogłoski, którym natychmiast zaprzeczano, były po prostu wymyślane przez kronikarzy, którzy sami już nie wiedzieli czem mają podtrzymać ciekawość czytelników swoich. W rzeczywistości zaś, Stahlstadt nie dawało znaku życia.

Ta zupełna cisza dawała wprawdzie Marcelemu możność dokończenia rozpoczętych robót, ale z drugiej strony niepokoiła go cokolwiek w rzadkich chwilach, kiedy miał czas myśleć o tem.

Czyżby zbój ten miał zmienić baterje swoje albo przygotowywał dla mnie jakąś nową sztukę w swoim rodzaju? — pytał siebie niekiedy.

Ale plan tak dla zatrzymania okrętów nieprzyjacielskich jak dla niedopuszczenia do opasania miasta, obiecywał, że zadośćuczyni wszystkim potrzebom, i Marceli w chwilach tych niepokoju, podwójnie stawał się czynnym.

Jedyną jego przyjemnością i jedynym odpoczynkiem, po dniu pracowitym, była krótka godzina, którą co wieczór spędzał w salonie pani Sarrasin.

Od początku doktor wymagał, ażeby młody człowiek codziennie jadał u niego, wyjąwszy chyba, że gdzieindziej zaproszonym będzie, ale rzecz dziwna, dotąd jeszcze nie spotkało go tak ponętne zaproszenie, by Marceli wyrzekł się przywileju tego. Wieczna partja szachów doktora z pułkownikiem Hendon nie była jednak tak nadzwyczajnie zajmującą, by mogła wytłumaczyć tę jego akuratność. Trzeba więc przypuszczać, że inny jakiś urok przyciągał go tam, i może domyślimy się, jakiego urok ten był rodzaju, chociaż Marceli sam na pewno nie domyślał się tego, jeżeli zwrócimy baczną uwagę na przyjemności, jakiej zdawał się doznawać podczas rozmów swych z panią Sarrasin i panną Joanną, kiedy wszyscy troje siedzieli wieczór koło dużego stołu; obie dzielne kobiety zajmowały się przygotowaniem tego wszystkiego, co mogło być potrzebnem w przyszłej obsłudze ambulansów.

— Czy nowe te nitable stalowe lepsze będą od tych, których rysunek pokazywałeś nam pan? — pytała Joanna, którą zajmowało wszystko, co się tyczyło robót obrony.

— Zapewne, pani — odpowiadał Marceli.

— Ach! bardzo się cieszę! Ale ileż to pracy, ile trudów kosztuje najmniejszy szczegół odnoszący się do pomysłu!... Mówiłeś pan, że wykopano wczoraj znowu pięćset metrów fosy? To wiele, nieprawdaż?

— Wcale nie, to nawet za mało! Takim sposobem nie skończylibyśmy obwodu za miesiąc nawet.

— Chciałabym, żeby się to już skończyło, i żeby wreszcie ci szkaradni Schultzianie przybyli! Szczęśliwi mężczyźni, że mogą działać i być użytecznymi. Takim sposobem oczekiwanie wydaje się im mniej długiem jak nam, cośmy do niczego.

— Do niczego! — zawołał Marceli zwykle spokojny — do niczego! A dla kogoż jak pani myślisz, ci ludzie, którzy wszystko rzucili i stali się żołnierzami, dla kogoż pracują oni, jeżeli nie dla zapewnienia spokoju i szczęścia matek swoich, swoich żon lub narzeczonych? Ich zapał zkąd pochodzi, jeżeli nie od was, komuż zawdzięczać należy to pragnienie poświęcenia się, jeżeli nie...

To powiedziawszy, Marceli zamilkł zmięszany trochę. Panna Joanna nie nastawała dalej, i dyskusję zakończyć musiała dobra pani Sarrasin, mówiąc młodemu człowiekowi, że miłość dostatecznie zdaje się wyjaśnić może zapał u większości pracowników.

Kiedy nielitościwy obowiązek odwoływał Marcelego, kiedy musiał on spieszyć dla dokończenia jakiegoś projektu lub kosztorysu, wówczas z żalem przerywał przyjemną rozmowę i wychodząc unosił z sobą niewzruszone postanowienie uratować Francję-Miasto i wszystkich mieszkańców jego, nie wyjmując nawet najmniejszych.

Nie spodziewał się tego, co miało nastąpić, a co jednak było naturalnem, nieuniknionem następstwem tego stanu rzeczy, tego skupienia się wszystkich w jednym, które było zasadniczem prawem w Stalowem mieście.

ROZDZIAŁ XV.

Giełda w San-Francisco

Giełda w San-Francisco, wyrażenie streszczone i w pewnym rodzaju algebraiczne a obejmujące ogromny ruch przemysłowy i handlowy, była jedną z najbardziej ożywionych i najdziwniejszych w świecie giełd. W naturalnem następstwie geograficznego położenia stolicy Kalifornji, giełda jej także ma charakter kosmopolityczny, co jest jedną z głównych jej cech. W przysionkach jej z pięknego granitu czerwonego Saksończyk wysokiego wzrostu, o jasnych włosach, spotyka się z Celtem o włosach ciemnych, cerze matowej i członkach więcej kształtnych i giętkich. Murzyn idzie obok Finlandczyka i Indusa. Polinezyjczyk ze zdziwieniem patrzy na Grenlandczyka. Chińczyk z ukośnemi oczami, ze starannie splecionym warkoczem, przebiegłością ubiega się o lepsze z Japończykiem, historycznym nieprzyjacielem swoim. Wszystkie języki, wszystkie djalekta, wszystkie żargony mięszają się tam z sobą, jak w nowoczesnym Babelu.

Otwarcie rynku 12. października na tej giełdzie, jedynej w swoim rodzaju na świecie, nie przedstawiło nic nadzwyczajnego. Z nadejściem godziny jedenastej, główni faktorowie i ajenci zbliżali się do siebie wesoło lub poważnie, stosownie do swych osobistych temperamentów, ściskali za ręce, szli do bufetów i rozpoczynali dzienną czynność obfitemi libacjami. Potem jeden po drugim otwierali małe mosiężne drzwiczki numerowanych przegródek, znajdujących się w sieni a przeznaczonych na korespondencję abonentów; wyjmowali z nich ogromne paki listów, które z roztargnieniem przeglądali.

Wkrótce rozpoczęły się pierwsze targi, a jednocześnie tłum powiększał się nieznacznie. Lekki hałas powstawał w oddzielnych coraz liczniejszych grupach.

Depesze telegraficzne zaczęły zlatywać się ze wszystkich stron świata. Co chwilę zjawiał się kawał niebieskiego papieru; odczytywano go wrzeszcząc z sił całych wśród burzy głosów, poczem służba giełdowa przylepiała go na północnej stronie gmachu, gdzie się już znajdowała cała kolekcja telegramów.

Ruch wzmagał się wciąż. Posługacze wbiegali, wybiegali, latali do biura telegraficznego przynosili odpowiedzi. Wszystkie książeczki z notatkami były otwarte, zapisywano w nich, wykreślano, wydzierano. Zdawało się, że jakiś rodzaj zaraźliwego szału opanował tłumem, kiedy wtem około godziny pierwszej coś tajemniczego przeszło jak dreszcz po ożywionych grupach.

Jeden ze wspólników „banku Far-West“ przywiózł wiadomość dziwną, niespodzianą, niemożebną, i ona to z szybkością błyskawicy obiegła dokoła gmach cały.

Jedni mówili:

— Co za żart!.. To intryga! Jak przypuścić podobne kłamstwo?

— Ho! ho! — mówili inni — nie ma dymu bez ognia!

— Kto tak mocno stoi, jakże upaść może?

— Upaść zawsze można!

— Ależ, panie, same nieruchomości i narzędzia stanowią kapitał ośmdziesięciu milionów dolarów! — wołał jeden.

— Nie rachując surowca i stali, materjałów surowych i przerobionych! — odpowiadał drugi.

— I ja właśnie to mówię! Schultze wart jest dziewięćdziesiąt milionów i gotów jestem zapłacić je w każdej chwili na jego wierzytelności.

— Ależ przecie, jakże wytłumaczysz to zawieszenie wypłat?

— Wcale sobie tego nie tłumaczę!... Nie wierzę temu!

— Jak gdyby takie rzeczy nie przytrafiały się codziennie, nawet z domami mającymi reputacją silnie stojących.

— Stahlstadt nie jest domem, jest to miasto!

— Zresztą, niepodobna, żeby się tak skończyć miało! Utworzy się zapewne kompanja, która w ręce swoje weźmie jego interesa!

— Ale dla czegoż u djabła Schultze nie utworzył tej kompanji, zanim dopuścił do protestacji?

— To właśnie, panie, jest to tak niedorzeczne, że nie ma o czem mówić! Jest to poprostu fałszywa wiadomość, rzucona prawdopodobnie przez Nash'a, któremu na gwałt potrzeba podwyższenia cen na stali!

— Nie jest to wcale fałszywa wiadomość! Schultze nie tylko zbankrutował, ale uciekł nawet!

— Ależ! ależ!

— Uciekł, powiadam panu. W tej chwili przylepiono telegram, który to zwiastuje!

Olbrzymia fala ludzi potoczyła się w stronę depesz. Ostatni kawał niebieskiego papieru zawierał te słowa:

„*New-York*, 12 godzina, 10 minut. — Centralny Bank. Fabryka Stahlstadt. Wypłaty zawie-

szone. Wiadomy dług: czterdzieści siedm miljonów, dolarów. Schultze znikł.“

Niepodobna już było wątpić, że wiadomość chociaż zadziwiająca nie mniej prawdziwą była; hypotezy posypały się ze wszystkich stron.

O drugiej godzinie listy drugorzędnych bankructw, spowodowanych upadkiem Herr Schultze'a, zaczęły zalewać rynek. Mining-Bank z New-York'u tracił najwięcej; dom Westerley i synowie z Chicago został wmięszany na siedm milionów; dom Milwankee z Buffalo, na pięć milionów; Bank przemysłowy z San-Francisco na półtora miliona; wreszcie domy trzeciego rzędu kończyły szereg ten.

Z drugiej strony, zanim nawet wiadomości te rozeszły się, bankructwo Schultze'a wywołało istną burzę na giełdzie San-Francisco.

Rynek giełdowy tak ociężały rano, jak utrzymywali znawcy, inaczej zupełnie wyglądał o drugiej po południu! Jakie podskoki! jakie podwyżki, jaki szalony wybuch spekulacji!

Podwyżka na stali, której cena rośnie co chwilę! Podwyżka na węglu kamiennym! Podwyżka na akcjach wszystkich giserni Związku amerykańskiego! Podwyżka na wszystkich wyrobach przemysłu żelaznego! Podwyżka także na gruntach Francji-Miasta. Od czasu ogłoszenia wojny, te ostatnie spadły były na zero, znikły nawet z cenników papierów publicznych, a teraz nagle podskoczyły w górę; żądano sto ośmdziesiąt dolarów za morg!

Tegoż wieczora jeszcze do sklepów z wiadomościami przypuszczono szturm. Ale napróżno *Herald, Tribune, Alta, Guardjan, Echo i Globe* olbrzymiemi literami wypisały to, o czem się dowiedzieć mogły; wiadomości ich redukowały się do zera prawie.

Wiedziano tylko, że 25. września, weksel na ośm milionów dolarów, akceptowany przez Herr Schultze'a, wystawiony przez Jackson'a Elder'a et Cmp. Buffalo, został okazany Strauss'owi, Schring'owi et Cmp, bankierom Stalowego króla w New-Yorku, i że ci panowie, obrachowawszy, że otwarty u nich kredyt klienta, nie wystarczał na zapłacenie tej ogromnej sumy, natychmiast telegrafowali o tem do niego, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymali, że przejrzawszy wówczas księgi swe, ze zdziwieniem przekonali się, iż od trzynastu dni nie mieli ze Stahlstadt'u ani listu żadnego, ani wartościowych papierów; że od dnia tego, weksle i czeki, wystawione przez Herr Schultze'a na ich kasę, codziennie nagromadzały się i ulegały jednemu losowi, wracając tam, zkąd przyszły ze słowami: „no effects“ (nie ma funduszów).

Przez cztery dni żądania objaśnień, niespokojne telegramy, gniewne pytania, sypały się na dom bankowy i na Stahlstadt.

Nakoniec, stanowcza odpowiedź nadeszła:

„Herr Schultze znikł od 17. września, powiadał telegram. Nikt nie może dać żadnych objaśnień co do tej tajemnicy. Nie pozostawił rozkazów, i kasy oddziałowe próżne są.

Niepodobna już było ukrywać prawdy. Główni wierzyciele ulękli się i złożyli kredytowe papiery swoje w sądzie handlowym. W kilka godzin bankructwo rozeszło się z szybkością piorunu, pociągając za sobą orszak drugorzędnych upadków. W południe, 13 października, ogół znanych długów wynosił czterdzieści siedm milionów dolarów. Ze wszystkiego jednak przewidywać można było, że podniesie się jeszcze do sumy sześćdziesięciu milionów.

Oto co wiedziano i co z małemi odmianami opowiadano we wszystkich dziennikach. Naturalnie, że każdy z nich, obiecywał na dzień następny wiadomości zupełnie świeże i jak najszczegółowsze.

W istocie, wszystkie bez wyjątku, wysłały zaraz korespondentów swych do Stahlstadt'u.

Od 14. października wieczór, Stalowe miasto zostało oblężone przez prawdziwą armię reporterów z książeczkami otwartemi i ołówkiem w ręku. Ale armia ta odbiła się jak fala o zewnętrzny obwód Stahlstadt'u. Trzymano się jeszcze dawnych rozkazów, i nadaremnie reporterzy rozmaitymi środkami usiłowali przełamać opór straży; nie wpuszczono ich po za mury.

Przekonali się tylko, że robotnicy nie wiedzieli o niczem, i że nic się nie zmieniło w rutynie rządzącej ich oddziałami. Od dnia poprzedzającego tylko nadzorcy zapowiedzieli, z wyższego rozkazu, że nie było pieniędzy w oddziałowych kasach, i że centralnej dzielnicy nie nadesłano żadnych rozkazów, z tego więc powodu, w następną sobotę, jeżeli nie zajdzie żadna zmiana, roboty zostaną zawieszone.

Wszystko to nie tylko nie rozjaśniało kwestji, ale więcej jeszcze gmatwało ją. Że Herr Schultze znikł od miesiąca prawie, o tem nikt nie wątpił. Ale jaka była przyczyna i doniosłość tego zniknięcia, tego nikt nie wiedział. Nieokreślona myśl, że tajemnicza osobistość ukaże się lada chwilę, górowała nad niepokojem.

W pierwszych dniach roboty szły jak zwykle w fabryce, wskutek nabytej chyżości. Każdy robotnik spełniał zadanie swoje w ograniczonym zakresie swego oddziału. Kasy cząstkowe wypłacały wszystkim należność co sobotę. Ale centralizacja do nadto wysokiego stopnia doskonałości posunięta była w Stahlstadzie, pan zachował dla siebie tak całkowity kierunek nad wszystkimi interesami, że nieobecność jego musiała w bardzo krótkim czasie pociągnąć za sobą przymusowe zatrzymanie się maszyny. I tak, od 17. września, w którym król Stalowy po raz ostatni podpisał rozkazy swe, aż do 13. października, kiedy wiadomość o zawieszeniu wypłat wybuchła jak uderzenie piorunu, tysiące listów, wiele z nich musiało zawierać znaczne sumy, przesłanych pocztą Stahlstadt'u, zostało wrzuconych do puszki Centralnej dzielnicy, i ztamtąd, bez żadnej wątpliwości, dostało się do gabinetu Herr Sbhultze'a. Ale on tylko sam miał prawo otwierać je, znaczyć ołówkiem czerwonym i zawartość ich przesyłać głównemu kasjerowi.

Najwyższym urzędnikom fabryki nie przyszłoby nawet do głowy wystąpić po za zakres zwykłych swych praw. Nad podwładnymi swymi mieli władzę absolutną prawie, w obec zaś Herr Schultze'a, a nawet w obec wpomnienia jego, pełnili rolę narzędzi, nie mających ani władzy, ani powagi, ani głosu żadnego. Każdy z nich obwarował się ciasną odpowiedzialnością mandatu swego, wyczekiwał, „wyglądał“ wypadków.

Nakoniec, wypadki nadeszły. Dziwne to położenie przeciągnęło się aż do chwili, kiedy główne zainteresowane tem domy, zdjęte nagłym strachem, zaczęły telegrafować, domagać się odpowiedzi, upominać się, protestować, nakoniec prawnych chwyciły się środków. Trzeba było sporo czasu, zanim doszło do tego. Nie łatwo było przypuścić, że taka finansowa potęga miała nogi z gliny. Ale teraz rzecz stała się jawna; Herr Schultze umknął przed kredytorami.

Oto wszystko, co reporterzy potrafili wydobyć. Nawet znakomity Meiklejohn, co się wsławił był tem, że potrafił wyciągnąć polityczne zeznania od prezydenta Granta, człowieka najbardziej milczącego w tej epoce, niestrudzony Blunderbuss, znakomity z tego powodu, że będąc postym korespondentem *World'a* pierwszy oznajmił carowi wielką nowinę o kapitulacji Plewny; tym wielkim ludziom reporterji nie powiodło się lepiej niż innym. Musieli wyznać przed samymi sobą, że *Tribune* i *World* nie będą mogły jeszcze wyjaśnić tajemnicy bankructwa Schultze'a.

Ponury ten wypadek jedynym był prawie w rodzaju swoim, a to z powodu dziwacznego położenia Stahlstadt'u; niezależny bowiem i odrębny stan tego miasta nie pozwalał na prawidłowe i prawne śledztwo. Podpis Herr Schultze'a został wprawdzie zaprotestowany w New-Yorku i kredytorowie słusznie przypuszczali, że wartość fabryki może w pewnej mierze spłacić ich należność. Ale do jakiego trybunału udać się i zażądać, by zajął fabrykę lub sekwester nałożył na nią? Stahlstadt wyłączne dotąd zajmował stanowisko, wszystko w nim należało do Herr Schultze'a. Gdybyż był pozostawił jakiego przedstawiciela, radę administracyjną, zastępcę! Ale nic, ani sądu, ani rady sądowej nawet! On sam jeden był królem, najwyższym sędzią, główno dowodzącym, notarjuszem, patronem, handlowym sądem miasta swego. W osobie swojej urzeczywistnił ideał centralizacji. To też jego nieobecność wytworzyła próżnię zupełną, i cały ten straszny gmach runął jak zamek z kart.

W innym wypadku wierzyciele mogliby utworzyć syndykat, zastąpić miejsce Herr Schultze'a, ująć w ręce jego fundusze, objąć kierunek interesów. Według wszelkiego podobieństwa, znaleźliby, że dla wprawienia maszyny w ruch, trzeba było może trochę pieniędzy i siły kierującej.

Ale tutaj nic podobnego nie mogło nastąpić. Dla przeprowadzenia zastępstwa brakowało narzędzia legalnego. Zapora moralna jeszcze trudniejszą była do przebycia, jak okopy wzniesione do koła Stalowego miasta. Nieszczęśliwi kredytorowie własnemi oczami patrzali na zastaw wierzytelności swej i nie mogli go pochwycić.

Tyle tylko zrobili, że zeszli się na ogólne zebranie, naradzili między sobą i zanieśli do kongresu prośbę, by interes ich wziął w swoje ręce, by zajął się sprawą krajowców, wydał rozkaz przyłączenia Stahlstadt'u do ziemi amerykańskiej i takim sposobem podporządkował ten monstrualny utwór pod ogólne prawo cywilizacji. Kilku członków kongresu osobiście interesowanych było w tej sprawie; z kilku względów prośba przemawiała do charakteru amerykańskiego i należało przypuszczać, że będzie miała zupełne powodzenie. Na nieszczęście, kongres nie obradował wówczas, i obawiano się, że nie jedna zwłoka zajdzie, zanim prośba zostanie mu przedstawioną.

Tymczasem w Stahlstadt'ie wszystko zatrzymało się na miejscu, i piece gasły jeden po drugim.

To też wielki popłoch zrobił się między tą ludnością dziesięciu tysięcy rodzin, które żyły z fabryki. Ale co robić? Pracować dalej na rzecz zapłaty, która może i za pół roku nie nastąpi a

może i nigdy nie nadejdzie? Nikt nie był zdania tego. A zresztą, jaka praca być mogła? Źródło obstalunków wyschło wraz z innemi źródłami. Wszyscy klienci Herr Schultze'a czekali prawnego rozwiązania sprawy, zanim odnowią dawne stosunki z fabryką. Naczelnicy oddziałów, inżynierowie i nadzorcy nie mogli działać, nie mając rozkazów.

Były zebrania, meetingi, mowy, projekta, ale planu nie zrobiono żadnego, bo niepodobna było zrobić go. Przerwa w pracy wiodła za sobą orszak swój nędzy, rozpaczy i występków. Pracownie wypróżniały się, oberże napełniały. Za każdym kominem, z którego dym przestał wychodzić w fabryce, przybywał nowy szynk w okolicznych wioskach.

Najrozsądniejsi z robotników, najprzezorniejsi, ci którzy umieli przewidzieć ciężki czas i zaoszczędzili trochę grosza, pospiesznie umknęli z manatkami, z narzędziami, z pościelą, drogą sercu gospodyni każdej, i z pucołowatemi dziećmi, których uszczęśliwiał widok świata, co się im ukazywał z poza okien wagonu. Ci odjechali, rozlecieli się na cztery strony świata i odnaleźli wkrótce, jeden na wchodzie, drugi na południu, ten na północy, inną fabrykę, inne kowadło, inne ognisko...

Ale na jednego, na dziesięciu, którzy mogli urzeczywistnić to marzenie, iluż było takich, co ich nędza przykuwała do miejsca! Ci pozostali, z zapadłem okiem i rozdartem sercem!

Pozostali, sprzedając nędzne swe rupiecie chmarze drapieżnych ptaków, które instynktownie zlatują się zwykle tam, gdzie stanie się wielkie nieszczęście; w krótkim czasie zmuszeni uciec się do środków ostateczny, utracili wkrótce kredyt tak jak poprzednio zapłatę i bez pracy, bez nadziei, ujrzeli przed sobą całą przyszłość nędzy, czarnej jak ta zima, która się zbliżała!

(C. d. n.)

POŻYTEK I PIĘKNO.*)

Emmerson w jednym ze swych szkiców robi uwagę iż to, co natura tworzy w pewnym czasie dla pożytku, zamienia następnie na przedmiot ozdoby. Ażeby udowodnić to twierdzenie, wskazuje on jako przykład budowę muszli morskiej, której części, służące jej początkowo za usta, w dalszym perjodzie rozwoju utracają pierwotne swe przeznaczenie, i przybierają kształty powabnych wypukłości i fałdów.

Często przychodziło mi na myśl, że ta sama uwaga może być zastosowaną i do rozwoju ludzkości. Tu również przedmiot pożytku jednej epoki staje się przedmiotem ozdoby dla następnej. W obrębie instytucyj, wierzeń, obyczajów i przesądów, możemy także zaznaczyć owo powstawanie piękna z tego, co pierwej stanowiło wyłącznie przedmiot pożytku.

Najpierw naturalnie widzimy kontrast między wrażeniem, jekiego doznajemy, patrząc na nieuprawną rolę, — a wrażeniem jakiego doznawał patrząc na nią, dziki człowiek. — Gdy, przechadzając się po Hampstead Heath, zwrócimy uwagę na to, jak uderzająco wpada w oczy malowniczość tego pustkowia wskutek kontrastu z uprawnemi polami co je otaczają i mnóstwem domów, położonych w oddali, — to z łatwością przedstawiamy sobie, że gdyby taka przestrzeń, bezładnie porosła chwastami, ciągnęła się aż do linji horyzontu, wydałaby się nam smutną raczej prozaiczną, niż przyjemną; łatwo zrozumieć, że pierwotny człowiek nie dostrzegał bynajmniej piękna w takiej miejscowości. — Dla niego było to po prostu mieszkanie dzikich zwierząt, i grunt, z którego mógł wydobywać sobie korzenie. To co dla nas stało się miejscem wypoczynku i przyjemności, miejscem poobiednich przechadzek i zbierania kwiatów, było dla niego miejscem pracy i zdobywania żywności, które wzbudzało w jego umyśle jedynie pojęcie użyteczności.

Ruiny zamków są widocznym przykładem tej zamiany pożytecznego na piękne. Dla baronów feodalnych i ich lenników bezpieczeństwo było głównym, jeżeli nie jedynym celem, na który zwracali uwagę przy wyborze położenia i stylu zamków. Prawdopodobnie tyle się troszczyli o piękność budowy, o ile się teraz troszczą budujący tanie kamienice w naszych nowożytnych miastach. A tymczasem to, co pierwej było wzniesionem dla obrony i bezpieczeństwa, i miało ważne znaczenie w ekonomji społecznej, przybrało teraz cechę prostego upiększenia.

Zamki owe służą obecnie jako dekoracje dla pikników; widoki ich ozdabiają nasze bawialnie, a każdy z nich dostarcza otaczającej miejscowości legend do bajań świątecznych.

Rozmyślając takim sposobem, znajdujemy, iż nietylko rzeczowe ostatki zamarłych społeczeństw stają się ozdobą naszych krajobrazów, lecz podobnież i opisy ubiorów, zwyczajów i w ogóle urządzenia domu starożytnych służą jako upiększenia w naszej literaturze. Tyrania była ciężką, gnębiącą rzeczywistoćcią dla niewolników, którzy skutkiem jej cierpieli; krwawe zatargi były wielce realną sprawą życia i śmierci, dla tych, co brali w nich udział; ostrokoły, fosy, straże były nudną jednostajnością dla rycerzy, którym służyły ku obronie; więzienia, męczarnie i środki wybawienia od tego wszystkiego przedstawiały nieubłaganą i całkiem prozaiczną rzeczywistość dla tych, co przechodzili te koleje; a dla nas wszystko to stało się materjałem, co wpleciony do „Iwan-Hoe“ i „Marinion“ służy ku rozrywce naszej w wolnych godzinach, a wskutek kontrastu z naszem codziennem życiem nabiera poetycznego znaczenia.

Zupełnie to samo bywa z przestarzałemi wierzeniami. Ciosy kamieni, które jako świątynia, w posiadaniu kapłanów miały niegdyś znaczenie urzędowe, zaczęły w teraźniejszych czasach być przedmiotem poszukiwań antykwarskich; a sami kapłani stali się bohaterami oper. Rzeźby Greków, które dla swej piękności przechowują się w naszych galerjach sztuk pięknych bywają ozdobą miejsc publicznych i wejść do sal naszych — rzeźby te były niegdyś uważane jako bóstwa, wymagające posłuszeństwa; podbnąż rolę odgrywały wówczas i owe potworne bałwany, co teraz tylko rozśmieszają zwiedzających nasze muzea.

Podobna zmiana znaczenia daje się spostrzegać i w tem, co się tyczy drobniejszych zabobonów. Czarodziejstwo, które w minionych czasach było przedmiotem głębokiej wiary i wpływało na moralność ludu, stało się następnie materjałem dla upiększenia „Snu nocy letniej,“ „Burzy,“ „Królowej Czarodziejki,“ i mnóstwa innych małych opowiadań i poematów, i dotychczas dostarcza ono treści do bajek dla dzieci, baletów i t. p. Duchy podziemne, geniusze i monstra już nas nie straszą, i stały się przedmiotem dowcipnych rysunków w ilustrowanem wydaniu „Nocy Arabskich,“ gdy jednocześnie powieści o duchach i opowiadania o czarach i czarodziejstwie, zabawiając dzieci w wolnych chwilach, dają powód do żartobliwych aluzyj, ożywiających naszą rozmowę przy wieczerzy.

Nawet nasza poważna literatura i mowy w parlamencie posługują się upiększeniami poczerpniętemi z podobnych źródeł. Aby uniknąć monotonności przy jakiejś poważnej argumentacji, używa się często dla porównania greckiego mytu. Profesor przerywa martwą jednostajność praktycznej swej mowy objaśnieniami, wziętemi z obyczajów, zdarzeń lub wierzeń starożytnych. Podobne metafory nadają blasku politycznym rozumowaniom i wstępnym artykułom „Times'a.“

Zdaje mi się, iż pilne badania wykazałyby, że zamieniamy na przedmioty ozdoby po większej części te z objawów przeszłości, które są najgodniejsze uwagi. Popiersia wielkich ludzi stojące w naszych bibljotekach, i ich grobowce po kościołach; przedmioty, co były niegdyś pożyteczne, a teraz stały się symbolem heraldyki; mnisi, mniszki i klasztory upiększające pewnego rodzaju opowiadania; średniowieczni rycerze odlani z brązu i ozdabiający nasze bawialnie; złoty Apollo na stołowym zegarze; opowiadania, które dały przedmiot naszym wielkim dramatom, i zdarzenia dostarczające tematów historycznemu malarstwu, wszystkie te niezliczone przykłady zamiany pożytecznego na piękne zupełnie przekonywają nas, że prawie każdy produkt przeszłości, godny uwagi w jakimkolwiek względzie, przybierał następnie cechę dekoracyjną.

Gdy zacząłem tu mówić o malarstwie historycznem, przyszło mi na myśl, że z tych uwag można wyciągnąć pewien wniosek, dotyczący wyboru tematów w tej sztuce pięknej. W ostatnich latach ganiono często naszych malarzy historycznych za to, że wybierali sobie temata z historji czasów przeszłych; mówiono im, że gdyby przedstawiali na płótnie życie, czyny i dążenia swoich czasów, to daliby początek oryginalnej żywej szkole. Lecz jeżeli poprzednie fakty mają jakiekolwiek znaczenie, to chyba, że taka nagana nie jest sprawiedliwą. Jeżeli proces rzeczy bywa istotnie takim, że to co miało pewne praktyczne znaczenie w społeczeństwie w ciągu jednej epoki, staje się przedmiotem ozdoby w następnej, to można zgodnie z prawdą poniekąd wnioskować, że to co ma jakiekolwiek praktyczne znaczenie w czasie obecnym, lub miało takie znaczenie w bardzo niedawnej przeszłości, nie może przybrać cechy ozdoby, a wskutek tego nie będzie zdatnem do celów sztuki.

Wniosek ten okaże się jeszcze więcej zasadnionym, gdy rozpatrzymy samą właściwość procesu, za pomocą którego pożyteczne zamienia się na ozdobne. Głównym, najpierwszym warunkiem wszelkiego piękna jest kontrast. Dla tego, aby otrzymać efekt artystyczny, światło powinno być umieszczone obok cieniu, jaskrawe barwy obok ciemnych, powierzchnie wypukłe, obok płaskich. Huczne pasaże w muzyce powinny być urozmaicane cichemi, a sztuki chórowe solowemi; dźwięki bogate nie powinny się ciągle powtarzać. W dramacie wymagamy rozmaitości charakterów, sytuacyj, uczuć i stylu. W utworze prozaicznym ustęp krasomówczy

---

*) Ze zbioru pod tytułem «Haythorne Papers» Herberta Spencera.

powinien mieć stosunkowo proste otoczenie; w poezjach otrzymujemy znaczny efekt, zmieniając sposób wierszowania.

Zdaje mi się, że ta ogólna zasada wyjaśni, dla czego pożyteczne przeszłości zamienia się na piękno teraźniejszości. Tylko z powodu kontrastu z naszym teraźniejszym sposobem życia wydaje się nam interesującym i romantycznym sposób życia przeszłości. Również i piknik, który na chwilę przenosi nas w dawne czasy, ma dla nas coś poetycznego, czego nie miałby, w razie gdyby jego otoczenie było rzeczą zwykłą dla nas; takim sposobem wszystko starożytne staje się zajmującem z powodu stosunkowej swej dla nas nowości. W miarę jak z rozwojem społeczeństwa stopniowo oddalamy się od zwyczajów, obyczajów, sposobu życia domowego i wszystkich materjalnych i umysłowych produktów przeszłego wieku, w miarę jak to oddalenie nasze wzrasta, stopniowo wszystko to zaczyna przybierać w naszych oczach cechę poetyczną i nabywa znaczenia ozdoby. Dla tego to rzeczy i wypadki bliskie nas, które wywołują kojarzenie się wyobrażeń, nie przedstawiających znacznego kontrastu ze zwykłemi naszemi wyobrażeniami, okazują się niekorzystnym stosunkowo tematem dla sztuki.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Socjalizm w Krakowie. Socjalizm w Chinach. Nowiny teatralne.

Sprawa socjalistów krakowskich, pomimo nawału nader zajmujących wieści z zagranicy, jeszcze w wysokim stopniu zajmuje uwagę naszego ogółu. Z dotychczasowego przebiegu procesu, wyprowadzić można wniosek jeden nie do zaprzeczenia: kilku z pomiędzy oskarżonych odznacza się niezwykłemi zdolnościami i nawet talentem jasnego a wymownego przedstawienia przekonań swych i zdarzeń. To właśnie uderzyło jednego z naszych czytelników, spokojnego widać bardzo człowieka, który przysłał nam list treści następującej:

Szanowny Panie Redaktorze!

„Jakkolwiek mieszkam na wsi i sprawy polityczne bez porównania mniej mię obchodzą niż moje zajęcia gospodarcze, jednakże toczący się obecnie proces socjalistów w Krakowie, wydaje mi się tak doniosłym, że nawet po raz pierwszy biorę się do pióra, aby za pośrednictwem szanownego pisma pańskiego zwrócić na to uwagę ogółu. Większość oskarżonych w zeznaniach swoich podaje jako główne źródło swych wiadomości socjalistycznych czytanie broszur i artykułów traktujących o tej materji. Nawet wyjątki w *Czasie* podawane, miały wystarczyć do nawrócenia na nową wiarę społeczną niektórych obżałowanych. Cóż dopiero powiedzieć o tych sążnistych artykułach sprawozdawczych, które się obecnie w dziennikach drukują, i w których słowa sympatycznie i dokładnie socjalizm przedstawiające, wypowiedziane przez widocznie zdolnych bardzo oskarżonych, lepiej trafiają do przekonania tłumów, niż wszystkie suche i trudne do dostania broszury, razem. Proces tak wielki zawsze ma coś pociągającego, a nie jeden młodzik czytając go skwapliwie, nasiąknie nowemi, a według mego zdania niebezpiecznemi ideami. W procesie znajdujemy wyjaśnienie różnych odcieniów socjalistycznej wiedzy.

To jest, Panie Dobrodzieju, cała Akademja socjalistyczna.

Raczcie więc zwrócić w piśmie waszem uwagę, na tę okoliczność, bo rzeczywiście przejmuje nas obawa, co z tego wyniknąć może, i przyjmijcie wyrazy etc. etc".

Na list ten odpowiedzieć musimy w kilku słowach. Jesteśmy za zupełną swobodą słowa i uważamy wszelkie dyskusje w sprawach politycznych, naukowych i społecznych, jako pożądane i korzystne. Wolimy, żeby młodzież była zapaloną i gorącą w jakimkolwiekbądź umysłowym kierunku, aniżeli w żadnym. Najgorszym stanem jest obojętność zupełna. Jeżeli proces socjalistów zdołał zwrócić uwagę ogółu na kwestje tak mało znane, a jednak obecnie wstrząsające całym światem, to przyniósł on cywilizacyjne korzyści.

* * *

Gdy mowa o socjalizmie, to podajemy z angielskich dzieł ciekawą wzmiankę, tyczącą się tej kwestji, będącej obecnie prawie we wszystkich państwach na porządku dziennym.

„Jak używanie prochu strzelniczego na wiele wieków znanem było Chińczykom przed wynalezieniem go w Europie przez niemieckiego mnicha Bertolda Schwartza, powiada autor; jak druk również znanym był im prawie na całe dziesiątki stuleci przed wprowadzeniem go w użycie przez Gutenberga — tak samo socjalizm, komunizm i nihilizm, stanowiące chorobę naszych czasów, znane były oddawna w Chinach, a mianowicie już w wieku dziesiątym ery naszej, tj. wtedy jeszcze, gdy Europie ani się śniło o czemś podobnem, choćby tylko z nazwy! To co my dziś przeżywamy, Chinczycy przeżyli już temu lat dziewięćset.

Właściwości chińskiego socjalizmu, były też same co i naszego. Koleje jednak jakie przechodził, i los jaki go spotkał, były nieco odmienne. Bo był czas, a mianowicie w wieku XI ery naszej, że socjaliści cesarstwa niebieskiego dorwali się nareszcie do władzy. W roku 1069 niejaki Wang-ihan-che, mianowany pierwszym ministrem, stał się niebawem prawdziwym panem cesarstwa.

Zniósł przedewszystkiem w imieniu bołdychana wszelką własność ziemską. Wszystkie odtąd grunta poczęto uprawiać na rzecz państwa, a dopiero państwo po żniwach rozdzielało dochody pomiędzy obywateli. Dalszemi dekrety wszelki przemysł i handel, stał się również rzeczą państwową do wspólnego podziału. Wydany był dekret nakładający podatek na kapitalistów, mocą którego wszyscy kapitaliści lub właściciele innej własności ruchomej jak meble, ozdobne szaty itd. obowiązani byli wnosić każdorocznie do skarbu jedną piątą część wartości ruchomego majątku, słowem, państwo stało się odtąd jedynym kapitalistą, jedynym właścicielem dóbr i jedynym rolnikiem, jedynym fabrykantem, kupcem i bankierem. Orzekało ono dalej, kto do jakiej zdolen jest pracy, a orzekłszy, kazało pracę tę spełniać, poczem samo wymierzało odpowiednią zapłatę. Pod srogiemi karami wzbronionem było gromadzenie grosza w sposób tajemniczy; nikt nie miał prawa ani jednego talla mieć na własność wyłączną. I nie było w Chinach ani biednych, ani bogatych — wszyscy byli „równi" — wszyscy byli robotnikami — wszechpotężna siła zbiorowa pochłonęła wszelką indywidualność."

Panowanie atoli socjalistów chińskich nie było długiem:

„Obywatele socjaliści, jak upewnia autor, poczęli wkrótce nadużywać instytucji socjalistycznych, i wskutek wynikłych ztąd bardzo naturalnych zatargów, machina państwowa stanęła i skończyło się na tem, że po 15 latach panowania, socjaliści zostali usunięci od władzy, usunięci może nawet z rozpłatanemi brzuchami".

Wypada z tego, co już dawno wiadomo, że nic nie ma nowego na tym biednym świecie!

* * *

Po wyjściu bieżącego zeszytu „Tygodnia" ukaże się na scenie naszej nowa polska opera Henryka Jareckiego, o której niedawno na tem miejscu donosiliśmy. „Mindowe" został starannie wyuczony i przygotowany, i mieliśmy sposobność przysłuchania się próbom. Jest to, według naszego zdania, dzieło niepospolitej piękności i smaku, a co do swej formy, znacznie różniące się od tej, której dotąd używali polscy kompozytorowie. Jest to dramat muzyczny w całem znaczeniu tego słowa. Do podniesienia uroku muzyki przyczynia się tekst Słowackiego, który został o tyle tylko zmieniony, o ile tego wymagała forma samej opery. Najdoskonalszą stroną opery jest misterna instrumentacja, nad którą nasz maestro panuje samowładnie. Nowa ta opera na polu literatury muzycznej polskiej jest zjawiskiem niepospolitem, bo od śmierci Moniuszki nie pojawiło się nic większego i poważniejszego.

Z innych nowości teatralnych donieść możemy, że w poniedziałek ukaże się dramat „Śmierć cywilna", w której Rossi zwykle występuje w swych objazdach po Europie. Dalej przygotowują się „Szambelani" p. Wdowiszewskiego, „Podkomorzyna" p. Kaź. Zalewskiego, „Białe murzynki" p. Madejskiego, a na benefis p. Ładnowskiego „Antoniusz i Kleopatra" Szekspira. Wesołej muzie złożoną będzie ofiara w operetce „Boccacio".

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

(Kobiety XIX. stulecia. Studjum ekonomiczno-społeczne, napisał dr. Henryk Jasieński. Lwów 1880.)

Autor wybornego dzieła „Nędzy na Rusi" napisał nową książkę pod tytułem: „Kobiety XIX. stulecia — studjum ekonomiczno-społeczne". Wyznajemy, iż poniekąd zostaliśmy zawiedzeni w oczekiwaniu. Autor nie starał się zająć stanowiska bezstronnego; owszem stanął jakby na piedestale w traktowaniu sprawy kobiet; z całej książki wieje pewien chłód i uprzedzenie, zwłaszcza do naszych niewiast, i dlatego, pomimo niezaprzeczonych studjów, mimo pięknego stylu i wielu cennych zdań, tudzież trafnych uwag, książka ta, zdaniem naszem, nie dopnie zamierzonego celu.

Ażeby nakreślić obraz, niewątpliwie obok światła potrzeba i cieniów; ale tu światłych stron nie widzimy wcale, a cieniów nagromadzono tak wiele, że cały obraz przedstawia się czarno. Gdyby nas zapytano, jaki właściwie cel wytknął sobie autor, nie umielibyśmy dać odpowiedzi; książka jego jest pisaną w rozdziałach, sposobem feljetonowym; raz więcej, drugi raz mniej łaskawie traktuje sprawę kobiet, ale

nigdy nie opuszcza autora ton mentorski i jakiejś niczem nieuzasadnionej wyższości.

Na samym prawie wstępie zapowiada autor, że nie jest zwolennikiem równouprawnienia, czyli tak zwanej emancypacji kobiet. Wygłasza następujące argumenta: „Każde nabyte prawo pociąga za sobą równą ilość obowiązków“ — „Kobiety nie będąc z przyrody zdolne do pełnienia wszystkich obowiązków obywatelskich — nie mogą przeto żądać nabycia wszystkich praw obywatelskich.“ „Obowiązkowi obrony państwa lub kraju odpowiada prawo zajmowania wszelkich stopni w hierarchji wojskowej, uchwalanie budżetu wojskowego wpływa na sprawy zagraniczne i t. d. A ponieważ budżet militarny i sprawy zewnętrzne państwa są głównemi atrybucjami parlamentów centralnych, przeto kobieta nie może uzyskać prawa wyborczego do centralnych ciał prawodawczych.“ „Gniewacie się — woła autor — że posiąść nie możecie urzędów przez płeć brzydką zajmowanych? Ależ dla Boga, by urząd posiąść, trzeba się uczyć, trzeba pracować, trzeba coś umieć, a przecież najpiękniejsze z pięknych nie zechcą być o tyle naiwne, by komplementa salonowe stawiać na równi z świadectwem egzaminów państwowych.“ Jako główne zadanie dla kobiety, stawia autor macierzyństwo. „Kobieta jako matka i jako kobieta, ma wyjątkowe stanowisko w społeczeństwie, jest uprzywilejowaną.“ — Zdaniem naszem, mimo pewne różnice fizjologiczne, skoro tylko kobieta jest człowiekiem, należą się jej wszystkie prawa przysługujące każdemu mężkiemu osobnikowi. Wszak niejeden mężczyzna nie posiada sił fizycznych do pełnienia obowiązku obrony kraju lub mozolnej pracy, a posiada mimo to wszelkie prawa. Nie widzimy powodu, dla któregoby kobiety nie miały zasiadać w parlamentach i nie uchwalać budżetów wojskowych; czyż nie rozchodzi się tam głównie o ich skarb najdroższy — o ich płód własny? Gdyby kobiety w parlamentach brały udział, możeby one głównie sercem się powodując, stanęły murem protestu, aby świat cały nie był jedynie wdowią jatek ludzkich, ale do szlachetniejszych zdążał celów.

Na szyderstwo zakrawa zdanie autora, w którem powiada, że aby posiąść urząd, trzeba się uczyć, trzeba coś umieć, trzeba posiadać egzamina państwowe; a czyż społeczeństwo nadało kobietom choćby prawo uczenia się? czy dozwala składać egzamina państwowe? czy nie chowa przed niemi światła pod korzec? Twierdzenie autora, że macierzyństwo jest dla kobiety głównem zadaniem, również słabą ma podstawę; czyż na odwrót nie mogą odeprzeć kobiety, że mężczyzny głównem zadaniem winien być obowiązek ojcowstwa? Wreszcie macierzyństwo trwa w życiu zaledwie lat kilka, a cóż z resztą czasu? cóż dopiero kobiety bezdzietne i niezamężne mają czynić z sobą, gdzie mają się podziać? — Jak długo społeczeństwo mężkie opierając się na brutalnej przewadze fizycznej i na mocy dzierżonej od wieków władzy, uważać będzie kobietę tylko za przedmiot śmiechu i igraszki, za lalkę i cacko salonowe, i ukrywać przed nią promienie prawdziwej oświaty, w fałszywej obawie, aby jej nie spaliły; tak długo cała ludzkość za to cierpieć będzie i pokutować.

Na co wreszcie zdadzą się wszelkie wykręty i sofizmatyczne wywody? Fakta najlepszym są argumentem — a fakta świadczą, że kobiety obecnie poważnie patrzą na rzeczy i o wiele pilniej pracują i kształcą się niźli mężczyźni; owóż stać się może nie dalej jak w przyszłem stuleciu, że one same siłą inteligencji zdobędą sobie te prawa, które im słusznie się należą. Jak bowiem powiada Adhemard Lecler: „Kobieta nie jest tylko towarzyszką mężczyzny, ona jest wspólnikiem jego. Spółka, która ich łączy, jest ze wszystkich spółek, w które wchodzimy, najświętszą. Jeśli zatem kobieta jest spólniczką męża, jest przeto mu równa, i nie potrzebuje być mu podległą. Jego prawa winny być jej prawami — a ona powinna umieć i wiedzieć wszystko to, co jej wspólnik umie i wie. Czyż ona nie ma, na równi z nim, ciężarów do dźwigania, obowiązków do dopełnienia, odpowiedzialności do zniesienia? Dlaczegoż tylko praw pozbawioną została?“*)

Sądząc z tytułu dzieła, spodziewaliśmy się, że autor poda nam sumienną charakterystykę naszych kobiet. Tymczasem, odczytując uważnie całą książkę, przekonaliśmy się, że autor pisze o wielu rzeczach, o mężczyznach, o greczynkach, rzymiankach, żydówkach, ba nawet o amazonkach; ale naszych kobiet — Polek prawie wcale charakterystyki nie podaje. Wyraża się bardzo pobieżnie, dzieląc nasze kobiety na trzy, a raczej na cztery kategorje, tj. na włościanki, mieszczanki, kobiety inteligencji i szlachcianki. Włościankom przyznaje, że są bardziej pracowite niż mężka ich połowa, „że są o tyle rozumniejsze o ile z przyrody sprytniejsze, a obok wielu stron ujemnych rozwój a raczej konserwacja ekonomiczna i materjalna, stanowią dodatnią stronę kobiety włościanki“. O mieszczankach wyraża się, że „przeciętnie wziąwszy, są mieszczanki moralnie urobioną a ekonomicznie produktywną częścią narodu polskiego.“ Inaczej ma się rzecz z kobietami inteligencji, tym zarzuca autor jako główne wady: brak oszczędności i hyperprodukcję uczucia, zalicza je przeto do tej kategorji, której brakuje wszelkiej dodatności ekonomicznej. „Nigdzie nie spotykamy produktywności, tej, że tak rzekniemy, oszczędności w gospodarstwie domowem; same tylko talenta spożywcze, umiejące grosz gotowy wydać, lecz nigdy nań zarobić, lub takowy zaoszczędzić.“ Wyrok ten wydaje się nam za bardzo surowo i za sumarycznie wydany. Ale już niemiłosiernie i że się tak wyrazimy grzesznie postąpił sobie autor z niewiastami stanu szlacheckiego, do którego zalicza obecnie także acz nieherbowych posiadaczy obszarów szlacheckich, którzy w ich prawa wstąpili. Ażeby podać tych kobiet charakterystykę, autor czuje się zniewolony sięgnąć w dawniejsze czasy; powiada bowiem, że „tak jak ongi, tak i po dziś dzień warstwa ta przemożny wywierała wpływ na naród cały; wszystkie społecznem stanowiskiem niższe warstwy odwzorywywały takową, przyswajając sobie niestety jej wady, narowy, wybryki i pojąc się jej niemoralnością. Dzisiejsi jej potomkowie i następcy, oparci na tradycji czasów minionych, wysnuwają zasady żywota z zasad, któremi zeszłe kierowało się stulecie, prostując swe ścieżki o tyle, o ile niezbędna konieczność, postępem zwana, tego wymaga. Z podwójnej więc przyczyny cofnąć się musimy w ubiegłe stulecie, raz dlatego, by wytłumaczyć przyczynę demoralizacji warstw średnich, a powtóre dlatego, by ujrzeć źródło zepsucia obyczajów teraźniejszej warstwy wyższej.“ Tu przytacza autor z dzieła J. I. Kraszewskiego pt. „Polska w czasie trzech rozbiorów“ ustępy dające okropny obraz ówczesnej korupcji jakoteż najniższego upadku kobiet — i na tem poprzestaje i uważa takowy jako dostateczną charakterystykę tegoczesnych naszych niewiast. Jakto? nasuwa się gwałtem pytanie, więc tych kilkanaście nędznych istot, tych wynarodowionych zupełnie wietrznic, walających się po buduarach króla i ambasadorów moskiewskich, a które wraz ze wstydem wszelką w sobie godność człowieczą zatraciły — mają jeszcze u szanownego autora obecnie tyle wagi i wartości, że je jako typy charkterystyczne naszych niewiast polskich stawiać się odważa? A stuletniej niewoli pokutę wcale autor nie bierze w rachunek? A święte nasze ideały, nasze matki, siostry, kochanki i żony żadnego nie znajdują uwzględnienia? Te matki, z których mlekiem wyssaliśmy wszelkie tkwiące w nas uczucia szlachetne i miłość ojczyzny — te matki, co nas z błogosławieństwem wyprawiały na bój, lub u stoku cytadeli patrzeć musiały jak ich synowie kończą życie na szubienicy — te męczennice, rózgami przez wrogów katowane — te bohaterki, dobrowolnie idące pieszo za mężami gnanymi na Sybir; — więc wszystkie te obrazy żadnego nie zdołały u szanownego autora wyjednać sobie szkicu charakterystycznego? Stawiamy tu jeszcze raz pytanie i wielki znak wykrzyknika. Gdyby rzeczywiście podobny upadek moralny u kobiet przez sto lat trwał i dotychczas istniał, jużby nas pewnie nie było; to, że jesteśmy, żeśmy dotąd nie zginęli, zawdzięczamy głównie naszym kobietom — Polkom.

O istnieniu hyperprodukcji uczucia u kobiet, dowiadujemy się dopiero z dzieła autora. Strona uczuciowa u kobiet jest całkiem naturalna, stwierdzona nawet przez fizjologję. Prawdziwego uczucia nigdy za wiele nie może posiadać kobieta; tam gdzie tegoż brak jest zupełny, występuje fałszywa uczucia postać, zwana czułostkowością. Gdyby istotnie, jak życzy sobie autor, w wychowaniu strona uczuciowa u kobiet miała być tępioną, co równa się wynaturzeniu — pięknych zaiste doczekalibyśmy się czasów!

Ciasne szpalty czasopisma nakazują nam zwięzłość. Pomijamy więc nie odparłszy nie jedną kwestję poruszoną w dziele p. Jasieńskiego, — a na zakończenie podnosimy jeszcze jedną ważną, a zdaniem naszą charakterystyczną okoliczność XIX. stulecia. Podczas gdy w wiekach poprzednich kobieta głównie pośród czeladzi służebnej, przy kądzieli i przy drobiu spędzała wszystkie prawie dnie w roku; albo też wśród murów klasztornych trawiła na modlitwach i postach cały żywot bezpożytecznie; teraz w XIX. stuleciu głównie ze stanu inteligencji i ze stanu szlacheckiego dorastające niewieście pokolenie, garnie się tłumnie do nie oddawna otwartych publicznych zakładów szkolnych, gdzie z nieopisaną pilnością napawa się nauką i rychło w niej prześciga mężką młodzież. Kobiety nasze zaopatrzywszy się zasobem wiedzy, z niezłomną siłą moralną, z prawdziwem poświęceniem i z gorącem uczuciem dla ludzkości, jak istne bojownice wstępują w szranki publiczne. Wśród ogólnego materjalizmu i egoistycznej chciwości, one z zaparciem się, niosąc w ręku pochodnię, idą pomiędzy ciemny lud i zajmują dotąd nie zajęty, ważny, ojczysty posterunek. Tam pracą swą mrówczą, głównie zaś miłością i przejęciem się wzniosłością zadania, wzorowo pełnią twardy

*) «La femme au dixneuviéme siécle» przez Adhemarda Lecler. Paris 1879.

obowiązek: łagodzą dzikie obyczaje ludu, podbijają ich serca i otwierają po za nim obszerniejszy horyzont. Toż u ogółu teraz już jednają sobie ogólny hołd i uznanie.

Niebawem też czynami własnemi, owocami zacnej swej pracy, zadadzą kłam twierdzeniu, że kobiety nasze są jedynie bezproduktywną i nieekonomiczną częścią społeczeństwa.

Z. O.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** P. Feliks Lewicki napisał obrazek historyczny p. t. „Oblężenie Stanisławowa przez Moskali w r. 1739.

*** Dnia 1. marca wyszedł z pod prasy III zeszyt „Słownika geograficznego", zawierający wyrazy od: „Bessenofalva do: „Biskupice.

*** Wydawnictwo „Dzieł Józefa Kremera" dobiega ku końcowi.

Obecnie ukazał się tom IX, zawierający dalczy ciąg „Podróży do Włoch" i „Pisma pomniejsze."

Pod starannym kierunkiem prof. Struvego nowa, kompletna edycja dzieł naszego filozofa-estetyka wzbogaci poważniejszy dział wydawniczy.

*** W dalszym ciągu „taniego wydawnictwa czytelń Jana Jeleńskiego" opuści wkrótce prasę drugie wydanie książeczki ludowej p. t: „Odpowiedź ciekawemu Kubie czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien" przez Janka Mrówkę (Jana Jeleńskiego.)

*** Dowiadujemy się, że po znanym tłumaczu ś. p. Józefie Paszkowskim, pozostał całkowity przekład „Fausta," który wkrótce zostanie ogłoszony drukiem.

*** Nr. 10 „Gazety rolniczej zawiera: 1 Służebności, przez Jana Romualda Wilanda. 2. Oceniainie nasion przez dr. A. Sempołowskiego. 3. Kilka słów o kuciu koni przez J. Kubickiego. 4. Pogadanki rolniczo-mechaniczne przez prof. T. Rylskiego. 5. Sprawozdanie ze zwiedzenia niektórych majątków krajowych przez dr. Tadeusza Kowalskiego 6. Listy z poznańskiego przez Ryszarda 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Kurjer rolniczy. 11 Odcinek zawiera: Obrazki wschodniej Galicji przez Henryka Mierzeńskiego.

Nauka.

*** Młodzież akademicka sekcji przyrodniczej warszawskiego uniwersytetu zamierza ułożyć wspólnemi siłami i wydać nową mapę geologiczną Królewstwa Polskiego i Galicji. Jak wiadomo, istnieją już dwie tego rodzaju mapy: Puscha i Kosińskiego, są one jednak niepraktyczne z powodu nieoznaczenia na nich ani południków ani granic administracyjnych; prócz tego pierwsza posiada zbyt wielkie rozmiary i dużo kosztuje, ostatnia zaś jest zupełnie wyczerpana. Nowa mapa posiadać będzie wielkość około $1^1/_4$ łokcia kwadratowego, a oznaczone na niej zostaną granice administracyjne, południki i piętra.

*** Z Berlina donoszą, że w z. m. obchodziło Towarzystwo Naukowe Akademików — Polaków czterdziestą rocznicę swego istnienia. Na uroczystości tej znajdowało się przeszło 90 osób, pomiędzy którymi było dziesięciu posłów polskich z sejmu i parlamentu. Posiedzenie zagaił p. Dobrzyński, wicemarszałek, a jeden z członków odczytał napisaną przez siebie „Historję Towarzystwa Akademickiego w Berlinie." Przy kolacji wzniósł p. Tadeusz Jackowski, pisarz Towarzystwa, zdrowie wszystkich gości obecnych, a szczególnie posłów i Towarzystw polskich reprezentowanych przez członków swoich na uroczystości, — a p. wice-marszałek odczytał życzenia dla Towarzystwa Akademików przez kolegów z Gryfii i Wrocławia przesłane. Pan dr. H. Szuman prezes Koła polskiego, w pięknych słowach podziękował za wzniesione swoje i kolegów zdrowie, przypomniał młodzieży jej obowiązki wielkie i zakończył toastem na jej powodzenie. Nastąpił koncert p. Limperga, ucznia akademji muzycznej tutejszej, przyjęty oklaskami. P. dr. Chłapowski wniósł potem toast na powodzenie p. dra Adamkiewicza, opuszczającego Berlin: by zająć katedrę profesorską przy uniwersytecie Jagielońskim Na tem skończyly się mowy. Pogadanka przerywana czasem wesołą pieśnią trwała aż do północy.

Sztuki piękne.

*** Z Paryża donoszą nam, iż przebywający tam młody a pełen talentu malarz p. Paweł Merwart, Lwowianin, wykończył płótno większych rozmiarów, przeznaczając je do tegorocznego „Salonu". Merwart już w zeszłym roku zwrócił na siebie uwagę krytyki „Portretem „starca", umieszczonym w pokaźnem miejscu tejże wystawy.

*** Na wystawie warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych umieszczone zostały w przeciągu ostatnich dwóch tygodni następujące obrazy:

Bakałowicza: „Portret damy", Stanisława Chlebowskiego: „Sprzedaż niewolnicy", Władysława Gościmskiego: „Miejscowość w Szwajcarji", Bohdana Kleczyńskiego: „Studjum z natury", Wilhelma Kotarbińskiego: „Chrystus przed sądem". Bolesława Łaszczyńskiego: „Portrety dzieci", tudzież Tadeusza Rybkowskiego: „Nieudane wyścigi".

*** Na ścianach tyle wybrednego „Salonu paryskiego" coraz częściej pojawiają się prace artystów naszych.

Dawniej znajdował tam tylko dostęp Rodakowski, który za „Kardynała" uniósł z „Salonu" czerwoną wstążeczkę „legii" — po nim wtargnął imponująco Matejko ze swoją „Unią" i zdobył krzyż i medal" — dalej ukazał się Siemiradzki ze swemi „Świecznikami", ostatni wreszcie wszedł tam za sprawą Goupila Chełmoński, wprowadzając za sobą całe stado swych rozszalałych ukraińskich tabunów.

Dziś donoszą nam o nowym, polskim „na salon" najeździe.

Gotują się do wyprawy Siemiradzki, Brandt, Żmurko, Kowalski.

*** Antoniego Gramatyki „Długosz" przeszedł na własność jednego z mecenasów sztuki w Galicji.

*** Znany z wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych wspaniały obraz „Pogrzeb mnicha" — pędzla Suchodolskiego (syna), znalazł nabywcę.

Zdjął go ze ścian wiedeńskiego „Kunstvereinu" właściciel galerji w Dreznie, br. Leitenberger.

*** Na losowaniu obrazów w monachijskim „Kunstverein", warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych wygrało obraz przedstawiający „Burzę" pędzla H. Beischa, wartości 1,200 marek.

Obraz ten umieszczony zostanie w muzeum towarzystwa.

*** Korespondent petersburskiej gazety „Nowosti" pisze z Warszawy:

„Publiczność tutejsza nie przestaje bardzo licznie odwiedzać wystawy obrazów, urządzonej przez przedsiębiorczego księgarza i wydawcę Ungra.

Główną przynętę stanowi dotąd śliczny karton znanego warszawskiego artysty Andriollego, przedstawiający składanie darów Kraszewskiemu w krakowskich Sukiennicach.

Publiczność spieszy oglądać rysunek ulubionego artysty z tem większą ciekawością, że karton obejmuje kilkaset portretów wybitnieiszych osobistości, odznaczających się nadzwyczajnem podobieństwem.

Niemały interes obudza również druga praca tegoż artysty, wyobrażająca jeden z epizodów klasycznej powieści Kraszewskiego „Stara baśń".

Andriolli, jak wiadomo, po mistrzowsku illustrował całą tę powieść, która niewątpliwie ozdobiona jego illustracjami, jest jednem z najpyszniejszych i najbytkowniejszych wydawnictw, jakie pojawiły się nietylko w Królestwie, ale nawet i w Europie, zważywszy na niesłychanie niską jego cenę.

Oprócz tych obrazów, znajduje się piękny obraz Żmurki „Umierająca Kleopatra", króry odrazu zjednał temu artyście popularność.

Równie zwracają na siebie uwagę akwarelle Matejki, nader drogo ocenione, pejzaże Brzozowskiego, rodzajowy obrazek Kossaka i inne".

Teatr.

*** P. Madejski, autor „Miodowych Miesięcy, napisał nową oryginalną komedję, w 4 aktach, p. t. „Białe Murzynki". Komedja ta, wkrótce wystawioną już będzie na Scenie teatru lwowskiego.

*** W niedzielę 7. Marca, w teatrze pragskim graną była komedja Michała Bałuckiego „Krewniaki", w przekładzie czeskim p. Arnolda Schwab — Polabsky'ego.

*** Wiktor Hugo ukończył nowy dramat „Les jumeaux", którego bohaterami są Ludwik XIV. i „człowiek o żelaznej masce".

*** Wiktor Hugo obchodził 25 Lutego pięćdziesiątą rocznicę wystawienia na scenie teatru francuskiego „Hernaniego". W dniu tym poraz 241 przedstawiono „Hernaniego" w teatrze francuskim. Sara Bernard wypowiedziała wiersz Coppego p. t. „La bataille d'Hernani". Wiktor Hugo nie był obecnym w teatrze dla uniknięcia owacji.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Warszawie d. 5. marca nastąpiło w kościele św. Krzyża uroczyste odsłonięcie pomnika Szopena.

Poprzedziło ten obrzęd o dni kilka wmurowanie w filar puszki z sercem wielkiego poety — a wszystko jest tylko symbolicznem utrwaleniem w pamięci współczesnych i potomnych niewygasłej aurcoli i poezji, która otaczała nazwisko Szopena w ciągu całego życia i po śmierci artysty.

Pomnik, znajduje się przy pierwszym filarze na lewo, od strony wielkiej nawy kościoła.

Jest on z marmuru białego, uwieńczony popiersiem Fryderyka, w niszy również marmurowej umieszczonem.

Dwóch aniołków podtrzymuje tablicę grobową, na której napisano:

„Gdzie skarb twój,
Tam i serce twoje."

St. Mateusz VI. 21.

FRYDERYKOWI SZOPENOWI
Rodacy

Urodzony 2. marca 1809 w Woli Żelazowej, umarł w Paryżu 17. października 1849 r.

Pomnik wykuł artystycznem dłutem p. Leonard Markoni, Warszawianin, obecnie profesor szkoły politechnicznej we Lwowie.

*** Z New-Yorku, Sygurd Wiśniowski pisze co następuje: „Składki na Szlązaków postępują.

„Niemcy, widząc, iż rzucamy skwapliwie nasz „grosz wdowi" — stali się też hojniejsi.

Dnia 8. lutego odbył się tu wielki koncert, urządzony w tym celu przez nasz komitet.

Adamowski objeżdżający teraz Stany-Zjednoczone z dobraną trupą koncertową Strakoscha, przybył tu i grał koncert Mendelshona oraz nokturn Szopena. „Karjera jego jest w Ameryce zapewnioną, Strakosch, jak mówią, płaci mu po książęcemu.

*** W Pradze w tych dniach utworzyło się „koło polskie" z celem towarzyskim; na przewodniczącego wezwano dra Emila Tonnera, znanego deputata czeskiego, na jego zastępcę poetę p. Ottona Mokrego.

*** Tunel św. Gotarda przekopany. Sonda północna od Göschenen pierwsza wydrążyła otwór w ścianie góry. Natychmiast zabrzmiały kapele muzyczne. Wysłano niezwłocznie depesze do prezydjum związku szwajcarskiego, do cesarza Wilhelma i króla Humberta, jako przedstawicieli państw, których subwencją wiekopomnego dzieła dokonano. Temperatura w pobliżu przekopu wynosiła 30°, puls robotników uderzał 154 razy na minutę. Przekopanie nastąpiło o 24 godzin wcześniej niż oczekiwano.

*** Według urzędowych danych, koszta robót około tunelu Św. Gotarda do dnia 1. marca, w którym przebicie zostało uskutecznione, wyniosły 45,600.000 franków. Zupełne wykończenie wymaga 50 miljonów franków. Przeciętnie każdy metr tunelu kosztuje 3300, a centymetr długości tunelu 33 fr.

*** Dzienniki peszteńskie zajmują się projektem uroczystego obchodu tysiącznej rocznicy osiedlenia się narodu węgierskiego w obecnej swej ojczyznie. W radzie miejskiej wystąpiono już z wnio—

skiem, aby tę rocznicę historyczno-narodową uczcić jakim pamiętnym aktem. Dotychczas jednak nie zgodzono się na datę obchodu.

*** W Paryżu 1. marca w hotelu Continental dany był przez prasę francuską bankiet na cześć Wiktora Hugo z powodu 78 rocznicy urodzin poety. W bankiecie brało udział około 200 osób. Wnosili toasty Augier, Delaunay i Sarcey. Sara Bernhard deklamowała wiersze Coppego. Wiktor Hugo odpowiedział kilkoma słowami, które głęboko wzruszyły obecnych.

*** W przytułku św. Gotarda, od 1. październ. 1878 do 31. września 1879, udzielono gościnę 11.101 podróżnym, pomiędzy którymi było 132 chorych.

*** Rada związkowa udzieliła w roku 1879 szwajcarskie prawo obywatelstwa 2215 osobom.

*** Zmarły niedawno Benjamin Rampal, tłumacz pism Schultze-Delitscha, cały swój majątek przekazał testamentem miastu Paryżowi. Wynosi on dwa miljony i ma służyć wyłącznie na założenie towarzystw robotniczych.

*** Z Irlandji z Portadown, w hrabstwie Armagh, donoszą, iż odbył się tam wielki meting, celem stwierdzenia własności ziemskiej Protestujący w liczbie 3000, nadszedłszy z muzyką na czele i zaopatrzeni w kije, napadli meting i rozproszyli zebranych. Dwudziestu członków metingu odniosło ciężkie rany.

*** Próba przewożenia z Australji do Anglji mięsa świeżego powiodła się. W tych dniach parowiec „Strath-Leven“ przywiózł pierwszy ładunek, składający się z 70 wołów zabitych, 500 owiec i 40 cetnarów masła. Zarówno mięso jak i masło miało smak wyborny. Okręt pozostawał w drodze blisko miesiąc.

*** Nie wiemy czy czytelnikom naszym wiadomo, iż w Londynie istnieje rzeczywiście akademja kulinarna!

W instytucji tej, istniejącej lat z górą sześćdziesiąt, berło rektorskie trzyma miss Klosk, kucharka osobliwego autoramentu, która ma do pomocy kilka... kucharek prelegentek, wykładających z katedry zasady wyższego gotowania.

Na lekcjach tych bywa około 200 studentek, oprócz tego uczęszcza na nie mnoga ilość wolnych słuchaczy, otrzymujących tytuł „Amatorów dobrej kuchni“.

W roku ostatnim liczba tych amatorów doszła do poważnej cyfry 2169.

Akademia kulinarna opartą jest na trwałych podstawach i przynosi nie małe zyski.

Studentka doświadcza sił swoich i swoich wiadomości przy ogniu, a rektor otrzymany z doświadczeń produkt sprzedaje publicznie.

Mówią, iż nawet autorka „365 objadów“ skorzystałaby tam mogła z poważnych studjów.

Podróże.

*** Pan Sibirjaków, znany filantrop w Syberji, przedsięwziął wkrótce wyprawić na ocean Lodowaty swój własny parostatek „Nordenszyld.“ Celem tej ekspedycji będzie przeprawienie się przez cieśninę Beringa koło Niedźwiedzich wysp i Turuchańskiego kraju, dla zbadania tych miejscowości.

*** Profesor Nordenskjöld złożył królowi szwedzkiemu sprawozdanie, dotyczące żeglugi ku wybrzeżom Syberji. Król Oskar sprawozdanie to we francuskiem tłumaczeniu przesłał do Petersburga.

Praca powyższa rzuca światło na przyszłe stosunki z Syberją; w szczególności zaś zaznacza, że wszelkie maszyny, jako motory cywilizacyjne, mogłyby być dostarczane z Europy na wybrzeża Syberyjskie.

ROZMAITOŚCI.

Karty wizytowe.

Karty wizytowe — te oznaki dzisiejszej grzeczności i galanterji — biorą swój początek z państwa niebieskiego i rozeszły się po świecie razem z chińską porcelaną.

W Chinach, oprócz herbów, koron, tytułów itp. innych akcesoryj używanych przy drukowaniu biletów, nie małą rolę gra także wielkość takowych, będąca w stosunku do godności i położenia towarzyskiego osoby.

Im wyższe stanowisko zajmuje osoba, tem i większą winna być jej wizytowa karta.

I tak, kiedy angielski poseł lord Macartney przyjechał do Pekinu, kilku służących przyniosło do niego olbrzymi zwój papieru, który rozpostarty w sali przyjęć, zakrył całą jej olbrzymią podłogę.

Była to karta wizytowa cesarza chińskiego.

Do nas przywędrowały wizytowe karty około połowy zeszłego stulecia, to jest w owym czasie, gdy znajomość chińskiego państwa i mądrości, była w najwyższym rozkwicie.

W tym czasie właśnie przyjął się zwyczaj na dworach panujących książąt, zamiłowanych w sztuce, iż posyłali oni jako dowód swej grzeczności podobne karty.

Zasadą w takich kartach było, iż wypisywano imię i nazwisko i otaczano je kwadratową złotą obwódką.

Często jednak spotykamy na takich kartach amorka z tabliczką, na której wypisuje się scyzorykiem nazwisko.

Karty wizytowe Ludwika XVI. były ozdabiane zazwyczaj koszykiem kwiatów i białym gołąbkiem.

Na innych oglądać można podróżnego, który w starożytnych ruinach greckiej świątyni, pod jej kolumnami wypisuje imię i nazwisko.

Fischer von Bern, syn budowniczego, który wybudował wytworny pałac w Schönbrün, pod Wiedniem, przedstawia się jako rybak na swej wizytowej karcie, zarzucający sieci.

Casanowa rysuje swoje imię i nazwisko na starym tłumoku, który osioł dźwiga.

Adrjan Bartsch wymalował znów na swych kartach pudła niosącego w pysku kartę z jego nazwiskiem i z powinszowaniem nowego roku.

Wszyscy wielcy artyści tego czasu, wystawiali swe karty, zdobiąc je w rozmaite artystyczne ornamenta.

Damy używały woniejących kart jak dzisiaj.

W czasach stylu „rococo“ i gilotyny, karty takie podróżowały od domu do domu, a często nosiły ostatnie pożegnanie i pocałunki aż do stóp szafotu.

Utrzymały się one jak wiadomo do dzisiaj, z tą tylko zmianą, iż nie widzimy na nich artystycznych ozdób.

ELDORADO LEKARZÓW.

W Pradze czeskiej podróżnik afrykański dr. Holub lekarz, wygłosił przed kilkoma dniami w medycznem kolegjum bardzo zajmujący odczyt o stanowisku lekarzy w południowej Afryce. Podczas gdy w Niemczech sfera lekarska wszelkich dokłada starań, aby zapewnić swym członkom lepsze stanowisko materjalne, odpowiedniejsze dzisiejszym stosunkom i wymaganiom, lekarze w południowej Afryce zajmują zarówno w społecznym jak i praktycznym kierunku bardzo wybitne stanowisko. Obowiązki te spełniają tam przeważnie Anglicy, Holendrzy i Niemcy. Znaczna większość medyków składa się z byłych aptekarzów i chirurgów. Dawniej każdy kto chciał mógł praktykować w tej części Afryki. Od niejakiego wszakże czasu w okolicach cywilizowanych żądają, aby lekarz przedstawił swój dyplom, poczem dopiero otrzymuje od gubernatora pozwolenie do praktyki lekarskiej Na Przylądku Dobrej Nadziei i na Polach Djamentowych płacą za lekarską wizytę 1 Ł. (15 zlr.), na wsi za każdą godzinę w podróży spędzoną bierze lekarz 2 Ł. Często się zdarza, że lekarze w ciągu 15 lub 20 lat zdobywają majątek wynoszący 15—30 tysięcy Ł. (150,000—300,000 rs.), z którym też zwykle wracają do Europy.

Zwyczaj dostatecznego opłacania lekarzy przyniesiono do kolonji tych z Anglji. Jak wysoko cenią dochody lekarza w Anglji, posłużyć może następująca okoliczność: Dr. Philips, jadąc koleją, wskutek zetknięcia się dwóch pociągów, uległ tak znacznemu kalectwu, że został pozbawiony środków utrzymania. Sądy przyznały mu wynagrodzenie w wysokości 16,000 Ł. (160,000 rs), na zapłacenie którego towarzystwo kolejowe we wszystkich instancjach zostało skazane. Wracając do opowiadań d-ra Holuba, dowodzi on, że daje się tam czuć znaczny brak akuszerek. Poświęcają się tu temu zajęciu zwyczajne kobiety, nie mające żadnych w tym kierunku wyrobionych kwalifikacji. Dla młodych europejskich lekarzy Przylądek Dobrej Nadziei jest prawdziwem Eldorado praktyki. Prelegent sam, pragnąc zwiedzić środkową Afrykę, w ciągu krótkiego czasu zebrał znaczną sumę pieniędzy, która mu pozwoliła bez troski oddać się swym turystycznym popędom. W cywilizowanych okolicach południowej Afryki lekarze nietylko posiadają majątki, ale zdobywają tu znaczne stanowiska w publicznem życiu. Natomiast praktyka śród ludności afrykańskiej nie zbyt jest miłą, a nawet niebezpieczną. W razie śmierci pacjenta, rodzina jego mści się na lekarzu, uważając go za truciciela w ścisłem tego słowa znaczeniu. W pojedyńczych prowincjach południowej Afryki panuje przeważnie zimnica, tyfus, marazm, wskutek czego mężczyzna w 40 roku życia dochodzi do zupełnej zgrzybiałości, dalej choroby ócz, otrucia. Odra i szkarlatyna występują tu często epidemicznie. Natomiast suchoty zdarzają się jedynie między obcymi przybyszami. Zadziwiająco dobroczynnym jest wpływ tutejszego klimatu na suchoty płucne, nawet w stadjach dalszych. W Polach djamentowych, dzięki ciągłemu przebywaniu mieszkańców na powietrzu i przeważnie fizycznem zajęciu, zdrowie ich jest zadziwiające — jeden z wielu dowodów, że dla tak zwanych chorób piersiowych świeże powietrze jest najzbawienniejszym środkiem, zaś pokojowe trucizną.

Od Redakcji.

Z powodu licznych żądań 1-go kwartału Tygodnia Polskiego, zawiadamiamy, że kwartał ten jest już zupełnie wyczerpany. Wskutek tego z ostatnim Numerem Marca ukończymy drukujące się obecnie artykuły i powieści, tak, że z dniem 1 Kwietnia r. b., Tydzień wszystkie artykuły rozpocznie nowe, oprócz powieści Jana Lama p. t. Dziwne Karjery, której zacznie się Tom II-gi.

Wszyscy zaś nowi prenumeratorowie Tygodnia otrzymają 1-szy tom Dziwnych Karjer bezpłatnie, w oddzielnej odbitce.

Treść Nr. 11.

	str.
O chlebie literackim III	191
Dziwne karjery, powieść przez Jana Lama (c. d.)	191
Marzenia niemieckie, kampanja Niemiec przeciw Rosji i Francji.	163
Klemens Boruta, nowella przez W. Okońskiego (dokończenie.)	516
Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza	167
Listy z Czech A. S. Polabsky'ego	167
Dola (z Szewczenki), wiersz, przez L. Sowińskiego.	168
Tryumf nauki.	168
Spadek 500 milionowy, powieść przez Juliusza Verne'a (c. d.)	169
Pożytek i piękno.	172
Kronika tygodniowa	173
Piśmiennictwo polskie,	173
Wiadomości z kraju i ze świata	175
Rozmaitości	176
Od Redakcji	176

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.